

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 VIII — 31 VIII 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 28 ■ Cena 1500 zł

● Proza Andrzeja Brauna ● Rozmowa z Ireną Lasotą ● Szkice o Stawarze i Frischu ● Wiersze Debeljaka ● Szaruga o spotkaniu poetów w Münster

PAN WIEŻY

Eva Kantůrková

EVA KANTŮRKOVÁ (ur. 1930), czeska prozaiiczka, autorka scenariuszy filmowych. Za „działalność antypaństwową” więziona przez rok na początku lat osiemdziesiątych. Z początkiem roku 1985 jedna z rzeczniczek Karty 77. Laureatka nagrody Toma Stopparda (za książkę *Przyjaciółki z domu żałoby*).

21 sierpnia przypada kolejna rocznica inwazji na Czechosłowację.

Plac wypełnił się tłumem, który ściągnął tu, do unerwionego centrum, i teraz klębi się w nie kończącej się procesji wzdłuż chodników, środkiem tramwajowych torów, po których nic nie jeździ, wzdłuż i wszerz rozległej przestrzeni; przedziwny ludowy festyn, którego główną atrakcją są opancerzone monstra na gąsienicach oraz ich załogi, siedzące na stalowym korpusie. Ale tacy już jesteśmy, myśli Pan Wieży. Naród opowiadaczy anegdot z naiwną wiarą, że lekceważeniem stawimy czoła koszmaram. Bo także inaczej pod lułą czolgą znaleźć by się mogła ta młodziutka mama, pchająca przed sobą wózek z nie więcej jak półrocznym dzieckiem? I ten jednonogi inwalida, kołyszący się na kulach i wyciągający szyję, żeby nie uszło jego uwagi? Otaczamy koszmara własną ciekawością, chcąc go w ten sposób unieszkodliwić.

Najwięcej jest na placu ludzi młodych. Przyszli już w nocy, gdy tylko radio obwieściło złą nowinę i miasto rozdzieliło się od huków lądujących ciężkich, olbrzymich transportowców, a wyładowane z nich czolgi zaczęły miażdżyć starodawny bruk. Oblepili i pokryli hasłami wszystko, co się dało, i teraz okupant daremnie zrywa przyklejony papier i białą farbą

zamalowuje napisy. Oni mu za plecami namalują coś nowego — ponieważ plac należy do nich. Dziewczęta, uczennice szkół średnich z twarzyczkami wykrzywionymi w nienaturalnym, bojowym grymasie, posługują się niewprawnie obcym językiem napaśtują zakłopotane i tępe twarze czolgistów.

Pan Wieży zgłębia tonację napisów. IWAN, WRÓĆ! NATASZA. Wracaj do domu, Iwan, są ważniejsze sprawy niż inwazja. W nastroju tłum widać sprzeciw i wzburzenie, lecz nie jest to nienawiść, a raczej kpiarska pogarda dla zacoфанego brata, który nie zawałił się użyć siły, gdy sprawy potoczyły się nie po jego myśli; ale bynajmniej nie wrogość, tylko lekceważenie, ośmieszenie drastycznej interwencji. Największy niepokój Pana Wieży budzą ci, którzy dyskutują z Iwanem na czolgach. Nie mają pojęcia, jaki jest rzeczywisty stan rzeczy! Iwan jest niewolnikiem i niewolnikiem zostanie, to naród niewolników z dołu do góry i z góry na dół, od Czernyszewskiego po nasze czasy. W europejskim sensie tego słowa Iwan jest nieznanym. Kochał ich, tych Iwanów, za ich siłę, za ich szeroką duszę, a ich niewolniczość tolerował, co więcej: ubolewał nad ich historycznym zapóźnieniem, daną po-

czciwość i rozległość. Zawsze jednak, gdy Iwan wdzierał się do Europy, stawał się bezkształtną siłą, z pomocą której ktokolwiek mógł — niczym miotłą — zaprowadzić w Europie własny porządek, tak jak gospodyni w kuchni.

Ala teraz Iwan siedzi spokojnie na pancerzu, szczęśliwy, że się wreszcie gdzieś ulokował. Obojętne mu są powody, dla których wyładował akurat tutaj i być może nawet nie wie, gdzie się znajduje: tępy, nieświadomy, za to prędko zadomowiony. Główna zaleta żołnierza: w marszu i podczas przerzutów o nic nie pytać i nie szemrać, a w krótkich przerwach między przerzutami zadomowić się jak najprędzej, bo ktoś to wie, dokąd pognają nas jutro. Czolgi są umieszczone przed drukarniami, redakcjami gazet, wydawnictwami, przed budynkami telewizji, agencji prasowej; przed radiem toczy się jeszcze walka o jego zamknięcie. Są przed koszarami praskiego garnizonu i gmachem parlamentu, przed lokalami partyjnymi i budynkami rządu, przed kluczowymi ministerstwami i instytucjami kulturalnymi, przed ambasadami krajów biorących udział w inwazji oraz przed willami tych nielicznych osób, które zobowiązały się do zalegalizowania desantu, lecz później wycofały się z danego słowa. Tylko na tym placu jest siedem czy osiem czolgów, blokujących dojeżdżenie do ulic i wybranych gmachów, a siedzący na nich lub osłonięci nimi przed słońcem żołnierze suszą sobie podkoszulki i onuce. Żołnierze wychodzą z czolgów i znów do nich wchodzą, leżą na nich, śpią, wysiadają, przechadzają się po nich, rozprostowując kości; ich oziębiałość

W następnym numerze „Dekady” nowe wiersze ZBIGNIEWA HERBERTA!

Florian Smieja

WIERSZE Z MINIONYCH LAT

ZAPALNY MATERIAŁ

Kiedy otwieram świeżą prasę, szukam zazwyczaj najpierw małego nawiasu z datą ustawy, artykułem, punktem numerem Dziennika Ustaw, pozycją: najbardziej ciekaw jestem właśnie zawsze wszystkich tych jasno wyróżnionych tekstów przez specjalistów od martwej lektury w łatwo zapalnym materiale biegłych znawców Talmudu, bystrych jasnowidzów żmudnych korników, ostrożnych magistrów pirotechników weszających zawczasu. Paradoksalnie ten, co nie drukuje słynie z długiego rejestru plam białych potentat konta, które inkwizycja pieczętowała w ogniotrwałej kasie. Jeśli w naturze jednak nic nie ginie to gdzieś powstają złoza dynamitu słów depozyty jak żrące esencje; pilnie składane przez skrzętne termity w wielką prochownię, arsenał trotylu. Lecz przyjdzie moment, kiedy skoczy iskra i wybuch targnie niemym horyzontem rozkruszy mury kazamat i lochów grzebiąc zniemacka niezadarnych strażników pod wyzwolonych słów palącą lawą.

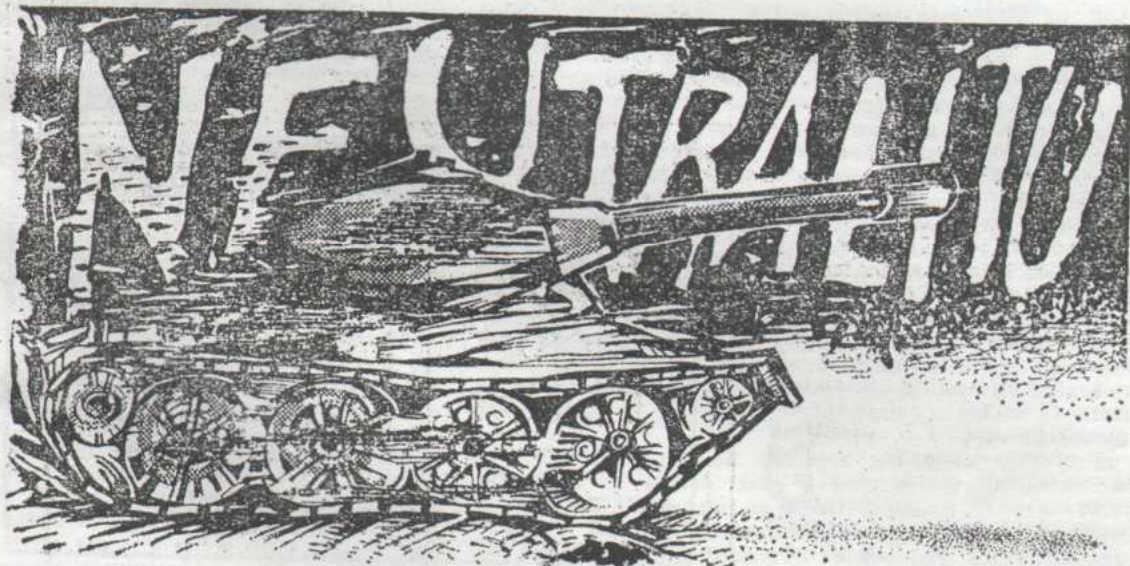
i bezwstyd sprawiają, że przypominają pijanych. Zajęcie ważnych gmachów powierzono „czarnym беретom”; wojska pancerne, których żywotność w razie wojny ocenia się podobno na parę zaledwie minut, służą tylko jako warujące psy.

Spokój odpoczynku zakłóca Iwanowi burczenie w brzuchu. Przywieźli ich tutaj samolotami nie zapewniając zaopatrzenia — coś jednak nie wyszło. Uczestnicy puczu nie wzięli odpowiedzialności za najazd, legalny zaś rząd, mimo że częściowo uprowadzony w niewolę, nie zrzekł się mandatu. A okupowany naród nie wita Iwana, naród się z Iwanem kłóci i dyskutuje, podczas gdy Iwana sse w dołku, a na wargach ma czarną, trudną do zlizania warstwę soli. Och, biedny Iwan! Nie dają mu jeść, nie ma co pić ani gdzie się umyć, za potrzebą chodzi do parku, wyłączenie nocą i zbrojnymi grupami. Jest spocony, cuchnący, brudny, zarośnięty; obojętnie przygląda się tłumowi przekonującemu go, do jak złych celów jest wykorzystywany. Puste kieszki są dla Iwana ważniejsze od odpowiedzialności historycznej i dlatego wygłodniały żołnierz, gdy go zanadto zdenerwują wykrzykiwane żądania, od czasu do czasu podnosi automat i puszcza krótką serię na postrach w powietrze lub w bruk pod nogi tłumy. Wów-

czas tłum na jakiś czas rozpierzcha się i uspokaja.

Tlum niesie Pana Wieży. Nigdy nie przestał być pupilem tłumy, do mas nie docierają zmiany literackich mód i subtelności gry politycznej. Sciskają mu ręce, ci najbardziej zrozpaczeni rzucają mu się na szyję. Zatrzymał się na placu w drodze do radia i rozmawia z nimi, żeby dowiedzieć się, co ma im powiedzieć później. I wtedy zobaczył tego chłopaka, dziecko jeszcze, szesnasto-siedemnastoletniego chłopca, chudego, niewyrośniętego, dziecięcą twarzączką ze spuszczoneymi powiekami, wychudzoną, zapadniętą, ubrudzoną. Zawinięto go w państwową flagę zbroczoną jego krwią i ułożyli na wypolerowanym szarym granicie między szatami kamiennych czeskich patronów, którzy niczym cichy orszak otaczają księcia Waclawa na koniu. Wokół zwłok oraz na wysokim, tarasowym postumencie pomnika płoną świeczki, setki świeczek. Miękki wosk roztopia się i rozlewa ciągliwie po ciemnoszarym kamieniu, zastygając w kształcie małych, okrągłych kałuż. W ostrym słońcu płomyki stają się niewidzialne, a o tym, że świeczki płoną, świadczy swąd przypalonych knotów oraz sporadyczne skwierczenie. Zwłoki są obłożone kwiatami. Pomnik, na którym chłopiec znalazł swój katafalk, jest

C.D. NA STR. 3



Rys. Aleksander Pieniek

PAN WIEŻY

C. D. ZE STR. 1

także oblepiony napisami, hasłami, plakatami. Nad głowami czeskich patronów powiewają flagi narodowe. Kamienne postaci świętych, wypolerowane ciosy, koń Waclawa i cała przestrzeń między nimi wypełnia nieposkromiony żywioł — młodzi traktują posąg jako swoją główną kwaterę. Są wyposażeni w megafon, pomnik wybucha ich krzykiem i śpiewem, a ich sylwetki są maleńkie i podatniejsze na zranienie niż kamienne olbrzymy, wśród których się schronili. Ciche, martwe ciało nadaje sens ich poczynaniom.

Nie pozwolił go odwieść. Leży tu cichy i pogodny — śmiełek na polu narodowej chwały. Jego czyn był niesamowicie odważny jak na jego szesnaście lat.

Najpierw, stanąwszy na ramionach kolegów, zwinnie niczym wiewiórka i równie beztrudnie wspiął się po nodze konia możnowładcy, a stamtąd — po osadzonym w strzemię księżym bucie wdrapał się Waclawowi na kolana, gdzie przytrzymując się ręki księcia, machał podaną mu z dołu flagą i krzyczał w stronę czołgów: „IWANY, WRACAJCIE DO DOMU!” Upojony wysokością, z której czeski patron ogarnia spojrzeniem plac, natężył ze śmiechem głos: „IDITIE DAMOJ!” Zestrzelili go z najbliższej stojącego czołgu jak zabłąkaną wróżkę.

— Waszek — powiedziała dziewczyna, która obmyła martwemu podrapaną twarz — i nikt nie wie, jak dalej. Był z domu dziecka, przynajmniej tak mówił. Skaleczył się, kiedy spadał. Nigdy jeszcze nie

widziałam takiego spadania. Przypominał ciężką, szmacianą kukłę. — Z jej oczu ciekły łzy. — Ale nie wiedział o niczym, spadał już martwy.

Do budynku radia udało mu się dostać tylnym wejściem. Tam, w zadziwiającej ciszy studia przemówił do czołwej membrany: — Znamie mnie i wiecie, że ich kochałem. Pisałem o nich i robiłem to chętnie. Przed chwilą widziałem niepotrzebnie zabitego chłopca. Był z domu dziecka, na imię miał Waszek, jego nazwisko jest nieznane. Zabili go, ponieważ odsyłał ich do domu. W ciągu trzydziestu lat dzieje się tak już drugi raz, kiedy mój naród, wy, którzy mnie słuchacie, musi zawołać z goryczą: A myśmy ich kochali! Czy nie jest tego zbyt wiele jak na cierpliwość jednego narodu, nawet jeśli mój naród jest zahartowany i wytrzymały jak stal? Na pewno zadacie sobie pytanie, co teraz? Widziałem ich: przyszedli tu butni, bez kawałka chleba — tak bardzo

pełni siebie, że zechcemy ich gościć. Zwracam się do was z wezwaniem: ani łyka wody! ani kęsa chleba! Ani łyka, ani kęsa!

co, zarzucasz mi, że potem w całych Czechach zamknięto publiczne studnie i opróżniono nawet fontanny, a oni przez ileś dni musieli pić wodę z bagien, stawów i zanieczyszczonych rzek? Ze nie wpuszczono ich za nasze prośby, do restauracji, sklepów, piekarni rzeźni, do spółdzielni rolniczych, i oni z głodu wygrzebywali niedojrzałe ziemniaki, wykruszali ziarno z niezręcznych kłosów i gryźli w sadach niedojrzałe owoce? Ależ tak, tę odpowiedzialność biorę na siebie, lecz absolutnie nie czuję się odpowiedzialny za ich śmierć. Marszałkowie zostawili ich bez prowiantu, najważniejsze było, żeby mieli w Czechach czołgi. Oficerowie strzałem w potylicę zabijali każdego żołnierza, który dostał czerwoni, biegunki albo tyfusu, a służby sanitarne grzebały trupy w czeskich polach tak płytko, że podczas

jesiennej orki lemiesz zahażali o ich odzież i członki. Za samowolne pójście po wodę karą był strzał z oficerskiej broni; za upolowanie jelenia oficer zastrzelił trzech młokosów w rubaszkach jeszcze na oczach gajowego, który przyszedł ze skargą; za kradzież chleba w sklepie ku przestrodze powieszony został na placu żołnierz: co tam ja... co tam my. Dla nas ludzie są ludźmi. To prawda, odmówiliśmy im żywności, ale przez nas żadnemu z nich nie spadł z głowy włos. Ich generałów tu przyprowadz, marszałków, biurokratów, polityków! Tych wykuj na wieczną pamięć i zostaw ich tutaj, niech się żywcem pieką w palącym, stepowym słońcu. Co tam ja, co tam my. Myśmy się tylko chcieli bezkrywawo bronić.

Fragment dotychczas nie wydanej powieści pod tym samym tytułem, zamieszczony w almanachu „Cień na leto”, Rzym, czerwiec 1988.

przełożył

JAN STACHOWSKI

POLEMIKI

Nazwy ulic, historia, rozsądek

Leszek Elektorowicz

Świętym oburzeniem zapalała Elżbieta Morawiec na zmianę ulicy Adama Polewki. „Kim oprócz tego, że był członkiem partii komunistycznej, był Adam Polewka?” — zapytuje w błogiej niewiedzy autorka kontrowersyjnego artykułu zamieszczonego w naszym piśmie na prawach wolnej tribuny. (Por. D.L. nr 26, 1991) Otóż gwoździem prawdy trzeba uświadomić autorkę i młodych czytelników, że Adam Polewka był nie tylko „członkiem”, lecz jednym z najbardziej zajadłych agitatorów komunistycznych w Krakowie,

wrogiem wszystkiego co łączyło się z polską tradycją niepodległościową, z Armią Krajową, emigracją polityczną, Kościołem. Był człowiekiem zaufania władz komunistycznych, za zadanie partyjne poczytując sobie walkę z resztkami wolnej, suwerennej myśli. W latach 1939—41 przebywał we Lwowie, gdzie, pod okupacją sowiecką wstąpił ochoczo w szeregi WKP(b) Zachodniej Ukrainy, a to dla b. członka rozwiązanej przez Komintern KPP nie było sprawą prostą. Pisze o tym Julian Strykowski w „Wielkim strachu”: „tyl-

ko wybrani, bardzo nieliczni zostaną przyjęci do WKP(b)” (str. 197, wyd. Czytelnik, W-wa 1990). Jakimi zasługami legitymował się wówczas Adam Polewka, można się tylko domyślić... W każdym razie w okresie, gdy Polacy (w tym i komuniści) oplakiwali utratę niepodległości oraz wschodniej połowy terytorium kraju, odcieranej od Polski wskutek układu Stalina z Hitlerem — Polewka dokonywał zdrady swego narodu, próbując kariery w sowieckiej ojczyźnie.

Po wojnie, w Krakowie walczył piórem propagandzisty partyjnego przeciw wszystkiemu, co nam było bliskie i drogie, jako Polakom. Rzekomy „miłośnik Krakowa” (określenie naszej byłej radnej) wydrwiwał tych, którzy powodowani troską o miasto obawiali się, że „Nowa Huta przestani je dynamem i zaczerzni starodawne szacowne mury” (Kochan i nienawidzę, 1955). Działalność polityczna Polewki była zresztą wielokierunkowa. Poprzestając jedynie na tym, co jest mi wiadome, przypomnę, że brał udział w egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie jako tzw. czynnik społeczny. Znam wypadek, gdy wystarczyło mieć medalik na szyi, a w ankiecie personalnej napisać, że ojciec był oficerem WP i zginął w Sowietach, aby nie tylko nie zdać egzaminu, ale nadto narazić się na brutalne szyderstwa na temat ojca służącego „w rekonwalescencyjnej armii Andersa” (nb. w krótki czas po wiadomości

o jego śmierci) oraz na pouczenie, że nie należy nosić medalika, bo „przeżył to kapitalista, ma na biurku telefon ze szczyrego złota” i tym podobne brednie.

A „zasługi” pisarskie Adama Polewki? Był głównie felietonista — agitator, zaś ani jego widowisko dla młodzieży Igrze w gród wał, repetowane niekiedy do znużenia w Barbakanie w okresie ogórkowym, ani przekład jednej powieści francuskiej na pewno nie kwalifikowały go do rangi, która zasługiwałaby na unamienienie w nazwie ulicy, co mogło się zdarzyć tylko w PRL. Jest Polewka wstydliwym reliktem komunistycznej przeszłości, który radni krakowscy słusznie wymazali z pamięci. Analogii z Orwellem nie ma tu żadnej.

Elżbieta Morawiec sugeruje, że zasługi jego syna jako scenografa i dyrektora Teatru „Groteska” miałyby niekiedy przynosić się na ojca. W takim wypadku należałoby w nazwie ulicy unamienić fakt tegoż ojcostwa, co stanowiłoby nie lada precedens w nazewnictwie ulic. O zamiarze zaś poświęcenia ulicy znakomitej malarce Marii Jędrzejance nikt, zaiste, oprócz Elżbiety Morawiec nie słyszał.

Natomiast likwidacja nazwy ulicy Ignacego Fika istotnie budzi zastrzeżenia, i to nie dlatego, że córką jego jest Maria Fik.

Co nowego w prasie?

Należy ubolewać, iż dokonująca się obecnie w szybkim tempie przemiana w sferze warunków i stylu życia, hierarchii wartości, obyczajów itd. są tak słabo dokumentowane przez literaturę, dziennikarstwo, a chyba także naukę. Obyczajowe realia lat 40. i 50. zostały utrwalone w twórczości Tyrmanda, a także — może nawet czasem mimowolnie — w literaturze socrealistycznej. Życie u schyłku lat pięćdziesiątych odzwierciedlał wiernie ówczesny reportaż społeczno-obyczajowy, który przeżywał wtedy swój okres świetności. Ponadto w latach 60. i 70. z inicjatywy socjologów, ogłaszano mnóstwo konkursów na pamiętniki i wspomnienia przedstawicieli różnych grup społecznych i zawodowych. Plon tych konkursów był w dużym procencie publikowany

i stanowi dziś kopalnię wiedzy o prawdziwym, codziennym życiu Polaków w minionych kilkudziesięciu latach.

Dzisiaj na rynku wydawniczym spotkać można wszystko, z wyjątkiem książek o naszym życiu codziennym (chyba, że seksualnym lub politycznym — ideał to połączenie jednego z drugim). W czasopiśmie zamieścił reportaż społeczno-obyczajowy. Realia życia w czasie powrotu kapitalizmu pozostaną nieudokumentowane, a wiedza o nich skończy się wraz z życiem świadków tych wydarzeń.

W tej sytuacji warto zwrócić uwagę na dwie bardzo pozytywne inicjatywy: miesięcznik RES PUBLICA w nrze 4 zachęca czytelników do nadsyłania swych życiorysów, stwierdzając: Nie każdy został ministrem, nie każdy urodził się w Warszawie czy

Gdańsku, lecz każdy ma jakiś życiorys i siłą rzeczy, jest on w dużej części peerelowski. Chcemy te życiorysy przedstawić. Redakcja drukuje jako pierwszy życiorys Eugeniusza Kurzawy, ur. w 1954, poety i dziennikarza, związanego przez całe życie z Białostoczczyzną. Autor bardzo szczerze i „zwyczajnie” przedstawia swój stosunek do peerelowskiej rzeczywistości i na własnym przykładzie przekonująco ukazuje polityczną obojętność i faktyczną bierną akceptację istniejącego porządku, jaka cechowała znaczną część mieszkańców tzw. prowincji. Oto początek tekstu: Od co najmniej dwóch lat dowiaduję się zaskakujących rzeczy o życiu społecznym (a więc także moim indywidualnym) w ostatnim dziesięcioleciu, jak zresztą o całym okresie peerelowskim. Zaskakujących, ponieważ „bratem czynny udział”, ale nie zauważałem tego, co obecnie bywa opisywane i na co powołuje się wiele osób w rozmowach i wspomnieniach. Własny życiorys doprowadza autora do następujących wniosków: Bój się, że upowszechnia się warszawski punkt widzenia: bliźniwy ZOMO, oni nas teli i zatrzymywali (...), pisaliśmy na murach „wiosna nasza” i kolportowali bibule. (...) ja i rodzina w „Solidarności” 1980—81 i potem oczywiście internowanie itd. Tak powinna wyglądać dziś „szusznia” i wzorcowy biografia. Tak wy-

gląda. Tylko obawiam się, iż jest to „model warszawski”, wyłansowany dzięki temu, że stolica dysponuje największą tubą, jaką jest centrala telewizyjna, największą liczbą tytułów gazet (...). Stąd w jej salonach, kawiarniach i innych ośrodkach opiniotwórczych, poprzez środki komunikowania masowego staje się niestety, obowiązującym mitem Polaków niezależnie od miejsca zamieszkania.

Dруга inicjatywa podejmuje dzieło prof. Chałasińskiego, wydawcy w okresie międzywojennym słynnych „Pamiętników bezrobotnych”, która to działalność była wielkim osiągnięciem polskiej socjologii, a także faktem o dużym znaczeniu politycznym. Otóż miesięcznik

ogłosił dziś konkurs na takie właśnie pamiętniki. Niektóre z nich cytuję tygodnik WPROST (nr 29). Leżąc przygnębiająca nie mniej niż tamte teksty sprzed 60 lat. Są jednak też różnice — ogólnie nie pewnych ofert „pracy” w czasach Chałasińskiego było nie do pomysłenia. Np.: Przygotuj pani w wieku 35—40 lat z tytułem magisterskim — zapłać 50 dolarów za swoją niemile spędzoną chwilę — moim towarzyszem. Seks w kluczonej. Regulamin (...). Widział znozenie wszelkich możliwych upokorzeń w czasie wspólnie spędzonej godziny. aż do bicia po twarzy wlości. (...). Ofiara ma prawo do bierności obrony, natomiast agresja z jej strony nie jest dozwolona.”

| | |
|-----------------------------|--|
| Jan M. Malecki | NOWOŚĆ WYDAWNICTWA ZNAK |
| Zarys dziejów Polski | Książka napisana w sposób dostępny dla każdego niemal czytelnika jest kontynuacją wydanego przez Znak w 1985 roku <i>Zarysu dziejów Polski do roku 1864</i> Władysława Czaplińskiego. W przygotowaniu ciąg dalszy — <i>Polska w XX wieku</i> (od 1939 roku) Henry Rolleta. |
| 1864-1939 | nr. 408, mapy i ilustracje |
| | Zamówienie: SW ZNAK Kraków, ul. Kościuszki 91, tel. 21 97 94, fax 21 95 14 |

OBYWATEL ŚWIATA

Z Ireną Laśotą

rozmawia Bogdan Rogatko

Bogdan Rogatko: Osoba Pani dobrze jest znana działaczom podziemia politycznego, znacznie mniej natomiast ludziom spoza tego kręgu. Czy mogłaby więc Pani opowiedzieć trochę o sobie. W jakich okolicznościach podjęła Pani decyzję o emigracji, w jaki sposób została Pani przedstawicielem Instytutu na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, jaka była Pani rola w kształtowaniu ruchu oporu w Polsce lat osiemdziesiątych?

Irena Laśota: Wyjechałam z Polski w styczniu 1970 roku na fali tzw. wydarzeń 68. W marcu byłam aresztowana, w kwietniu 1969 roku miałam proces, nie moge jednak powiedzieć, że zostałam zmuszona do emigracji. Wyjeżdżając z kraju towarzyszyłam swemu mężowi, który postanowił opuścić Polskę z powodu kampanii antysemitkiej, jak zresztą wiele osób, które poznałam potem w Ameryce. Ci ludzie poczuli się nagle intruzami w kraju, który uważali za swój, ponieważ tak byli traktowani na ulicy, w urzędach i innych miejscach publicznych ze względu na swój semicki wygląd czy obco brzmiące nazwisko. Tej wrogości nie doznawali bezpośrednio ci, którzy żyli w środowiskach intelektualnych Warszawy czy Krakowa, którzy pracowali na uniwersytetach. Ale wystarczyło, że wsiadli do tramwaju, że mieli dzieci w szkole, by przypomniano im żydowskie pochodzenie.

Po latach zrozumiałam, że mój wybór okazał się bardzo dobry. Po prostu dobrze się czuję mając francuski i amerykański paszport, jeżdżąc do wielu krajów. Czuję się obywatelką świata. Wiem, że to w Polsce nadal nie-możny termin. W Polsce, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, góruje tendencja do uważania naszego kraju za państwo jednonarodowe, w którym dominuje jedna wiara. Mnie to nie odpowiada. Wolę przebywać tam, gdzie nie pytają mnie o narodowość, wyznanie czy pochodzenie, gdzie poglądy polityczne są prywatną sprawą człowieka, gdzie, jednym słowem, panuje większa tolerancja światopoglądowa. W krajach, w których najczęściej przebywam, jest w atmosferze coś takiego, co określiłabym jako poczucie lekkości, swobody. W Polsce tego nie odczuwam i z rozmów z przyjaciółmi odnoszę wrażenie, że im również ciąży brak tak rozumianej swobody.

Wróćmy jeszcze do Pani biografii.

— W roku 1972 ukończyłam w Stanach Zjednoczonych pedagogikę specjalną i kilka lat pracowałam z dziećmi schizofrenicznymi. Trzy lata później rozpoczęłam studia z dziedziny nauk politycznych na uniwersytecie w Columbi, specjalizując się w komunizmie międzynarodowym. Uczyłam trochę na uniwersytecie, współpracowałam z „Wolną Europą”. Tuż po ogłoszeniu stanu wojennego założyliśmy z grupą przyjaciół Komitet Poparcia „Solidarności”. Formalnie istnieje on do dziś. Od innych tego typu organizacji różnił się tym, że od samego początku odmawialiśmy podporządkowania się stworzonym wówczas strukturam. Pracowaliśmy z przyjemnością, dla własnej satysfakcji. Z początku zbieraliśmy informacje o tym, co się dzieje w Polsce, potem zaczęliśmy pomagać finansowo, zwłaszcza pismom podziemnym, i akcja rozwinęła się do tego stopnia, że jak się okazało z publikowanego w roku 1989 w „Kulturze” sprawozdania, pomoc nasza objęła w sumie prawie dwieście różnych grup politycznych, pism i wydawnictw. Pragnę podkreślić, i z tego jestem rzeczywiście dumna, że pomagaliśmy właściwie wszystkim formacjom politycznym, które istniały w Polsce. Pomagaliśmy, co jest równie ważne, w sposób bezpośredni. Przekazana redakcji suma kilkuset dolarów chroniła często pisma przed upadkiem z braku funduszy na działalność podstawową.

W roku 1985 wyłonili się z komitetu Instytut na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, który mimo długiej i pięknie brzmiącej nazwy zatrudnia na stałych etatach tylko dwie osoby, natomiast dorywczo trzy. Tymczasem budżet instytutu, czyli suma pieniędzy przekazana przez nas rozmaitym ugrupowaniom i instytucjom wyniósł, jak się przekonałam w tamtym roku grubo,

ponad pół miliona dolarów. Nie muszę chyba mówić, że wymagało to dużej operatywności i aktywności.

● W kontekście niewątpliwych Pani zasług dla naszego kraju nie będzie chyba niedyskreją następujące pytanie: czy to prawda, że do dziś nie posiada Pani polskiego obywatelstwa, którego pozbawiła Panią władza komunistyczna?

— Nie występowałam sama o przywrócenie mi obywatelstwa, więc z formalnego punktu widzenia trudno mieć do kogoś pretensje, że go do tej pory nie mam.

● Sądę jednak, że mógł o tym ktoś pomyśleć i wystąpić do Pani z taką propozycją. Choćby Konsulat Polskiej w Nowym Jorku lub Ambasada Polska w Paryżu.

— Istotnie, poza kilkoma znajomymi nikt z oficjalnych przedstawicieli państwa polskiego o tym nie pomyślał.

● Smutne i symptomatyczne. Dzisiejsza scena polityczna Polski jest niezwykle skomplikowana i jej ocena budzi rozmaite emocje, zarówno w kraju jak i poza nim. Jaka jest opinia Pani na ten temat? Opinia osoby, która śledzi prasę zachodnią, a jednocześnie często przebywa w Polsce.

— Ostatnie osiemnaście miesięcy krąży nieustannie między Polską, Czechosłowacją, Węgrami a Rumunią, jestem więc w stanie ocenić sytuację Polski w kontekście porównawczym. Sądę, że to, co opóźniło w Polsce proces przechodzenia do normalności, to mit jedności, zwany także Solidarnością. Za długo utrzymywano, że w obrębie tzw. opozycji nie ma zasadniczych różnic politycznych, że dąży się do tych samych celów przy pomocy tych samych środków. W Czechosłowacji np. Forum Obywatelskie nie przetrwało kilku miesięcy i obecnie są tam partie polityczne o sprzeczowanych już programach i jasno określonych profilach. I tak chrześcijańska demokracja jest istotnie chrześcijańska demokracją, socjaldemokracja socjaldemokracją, prawica jest za wolnym rynkiem, lewica za większą interwencją państwa. Ludzie łatwiej się tam dogadują, bo rozmawiają o konkretnych sprawach. W Polsce natomiast stale jeszcze za dużo metafizyki, za mało konkretów. Dlatego perspektywę ma Kongres Liberalno-Demokratyczny, partia pozbawiona ideologicznych elementów, nastawiona pragmatycznie, i z tego powodu przypominająca najbardziej partię zachodnią. Tylko, że nie jest to jeszcze partia, lecz pewna elita dominująca obecnie w rządzie.

Scenę polityczną ocenia się m. in. na podstawie pism. Muszę ze smutkiem powiedzieć, że o ile w latach 1988—89 Polska miała zróżnicowaną i niezależną prasę...

● Mówi Pani o drugim obiegu...

— Przede wszystkim, ale nie wyłącznie — to obecnie nie dorównuje ona w różnorodności prasie krajów ościennych, jest np. mniej interesująca niż w Rumuni i nawet w Bułgarii, gdzie niewielkim nakładem finansowym powstały niezależne tygodniki, bo o tygodnikach głównie myślę. W Polsce pisma są na ogół zdominowane politycznie i dlatego zbyt jednostronne. Typowym przykładem jest „Gazeta Wyborcza”, której redaktor naczelny ma w każdej sprawie określone zdanie, i to odbija się na redagowaniu tej gazety. I tak np. z góry wiadomo, że recenzja z filmu czy spektaklu Wajdy będzie zawsze pozytywna, natomiast z filmu Zanusiego odwrotnie itd. Z kolei pismom bardziej wielostronnym brak często określonego profilu, są one nudne, nieporadne. To, co uderza w Polsce, to jest brak tygodników. Spotykam ludzi, którzy napisali ciekawy tekst, ale nie wiedzą, gdzie go drukować. Z tygodników, które lubię i cenię, chciałabym wymienić mało znany, ale bardzo interesujący tygodnik białostocki „Plus”.

● Czy fakt, że od jakiegoś czasu główna Pani uwaga, jako przedstawiciela IDEE (Instytutu na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej), zwrócona jest na naszych bliźszych i dalszych sąsiadów, można interpretować dla nas optymistycznie: Polska już się demokratyzuje, natomiast takie państwa, jak Bułgaria czy Rumunia są daleko za nami?

— Wróćmy jeszcze do pierwszego Pana pytania. Otóż najbardziej lubiłam pomagać tym, którzy oczekiwali tylko pewnej pomocy finansowej dla zrealizowania jasno określonych celów. Z takim zjawiskiem spotykam się teraz w Bułgarii i Rumunii, gdzie niewielka suma pieniędzy, potrzebna np. na zakup maszyny do pisania czy magnetofonu, jest przyjmowana z dużą wdzięcznością i właściwie wykorzystywana. Nie ukrywam, że z tych powodów najbardziej lubię jeździć do tych właśnie krajów, a także na Słowację. Są to sentymenty człowieka, który polubił Polskę lat 1982—1989. W krajach, o których mówię, wyczuwa się jeszcze podobny entuzjazm, jak niegdyś w Polsce, entuzjazm ludzi wierzących, że wszystko, co robią, służy konkretnym sprawom, że zmienia losy swoich środowisk, grupy, miasta czy nawet kraju.

Nie odpowiadałam Panu wprost na pytanie, ale nie umiałabym takiej odpowiedzi jednoznacznie sformułować. Chcę natomiast przy okazji powiedzieć o jednej, bardzo kontrowersyjnej, niechętnie w Polsce poruszanej sprawie. Poza głównym tematem naszej rozmowy. To sprawa list współpracowników dawnych służb bezpieczeństwa. Np. w Czechosłowacji dokonuje się coś, co nazwane zostało lustracją. Parlament zwrócił się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o listę posłów oraz wyższych urzędników państwowych, którzy byli tajnymi współpracownikami policji. Mnie się wydaje, że pomaga to oczyszczeniu sytuacji politycznej. Proszę mi wierzyć na słowo, a mówię to z autopsji, że nie ma to nic wspólnego z tzw. polowaniem na czarownicę. Do tych posłów, których teczki operacyjne znalazł w archiwach MSW, zwrócono się z propozycją odejścia z Sejmu. Nazwiska tych, którzy mimo ostrzeżenia nie odeszli, odczytano publicznie. Taka była wola Parlamentu, który uważa się za najwyższą władzę w państwie. Zostało to dobrze przyjęte przez społeczeństwo, które uznało Sejm za jedną z nielicznych oczyszczonych już wysepów nowego ładu w postkomunistycznym kraju. Są zawody, w których owa czystość jest bardzo istotna. Tymczasem właśnie z tych zawodów rekrutuje się największa ilość tajnych współpracowników policji wskutek szczególnie intensywnej inwigilacji ludzi te zawody uprawiających. Jeden zawód to politycy, a drugi — bardzo przepraszam, że to powiem, ale nie krył tego minister Krzysztof Kozłowski na spotkaniu w Paryżu — księża katolicy. Ci, którzy rzeczywiście współpracowali, powinni być przez Episkopat odsunięci od bezpośredniej pracy z wiernymi.

W Polsce sprawa list jest tak drażliwa, że prawie nikt nie chce o niej dyskutować, a jest to za ważna sprawa, żeby decydował o niej każdorazowo minister spraw wewnętrznych. To właśnie Parlament powinien z całą powagą zająć się sprawą byłych współpracowników służb bezpieczeństwa, żeby oczyścić atmosferę.

● Ma Pani rację, ale prawdą jest też to, że sporządzając takie listy łatwo wyrzucić ludziom krzywdę nie do naprawienia. Bo przecież trzeba się liczyć z prowokacjami byłych służb, które świadomie mogły dążyć do skompromitowania ludzi znanych z opozycyjnej działalności. To jednak temat na osobną rozmowę.

Od kilku lat redaguje Pani bardzo interesujące wydawnictwo pod nazwą „Konfrontacje”. Ukazało się już kilkanaście tomików tej serii. Redaguje też Pani w Stanach Zjednoczonych kwartalnik.

— „Konfrontacje” zaczęliśmy wydawać w 1985 roku. Pierwsze dwa tomy były nie numerowane: *Między sierpem a miotem* i *Pod czerwoną gwiazdą*. Miała to być jedna książka, ale materiałów wystarczyło na dwie. I tak powstała cała seria niewielkich objętościowo książek. Pragnęliśmy wypełnić pewną lukę w polskiej literaturze politycznej nastawionej polonocentrycznie. Nie przeczę jednak, że teksty wybierałam według swojego gustu i swoich zainteresowań. Mają one silne odchylenie antykomunistyczne, sporo materiałów dotyczy Związku Radzieckiego. Jednym z celów „Konfrontacji” było ukazanie polskiemu czytelnikowi, w jaki sposób dyskutuje się na Zachodzie na różne tematy związane z Europą Wschodnią.

● Sporo artykułów z „Konfrontacji” było przedrukowanych w prasie podziemnej. Ukazywały się też w wydaw-

niach krajowych poszczególne tomy. Dowodzi to, że inicjatywa Pani nie trafiła w próżnię.

— Obecnie wydają dwa kolejne tomy, 13 i 14. Pierwszy z nich nosi tytuł *Czy koniec historii?* Punktem wyjścia jest artykuł Francisza Fukuyamy z tamtego roku pod tytułem *Koniec historii*, z którym polemizuje ośmiu autorów. W przygotowaniu mam jeszcze jeden tomik, który będzie się nazywał *Ameryka, Ameryka*. I być może będzie on ostatnim. Chyba, że ktoś, np. w kraju, podejmie wydawanie „Konfrontacji”, sama bowiem mam coraz mniej czasu. *Uncaptive Minds* wychodzi od czterech lat. Tytuł jest parafrazą Miłoszowskiego *Zniewolonego umysłu* i w przetłumaczeniu na polski oznacza *Nie zniewolony umysł*. Zamiarem naszym było przedstawianie różnych punktów widzenia opozycji w Europie Wschodniej. Oprócz artykułów z Polski zaczęliśmy drukować artykuły z Bułgarii, Rumunii, a więc zajmowaliśmy się przemianami politycznymi w tych krajach w czasie, kiedy nie było to jeszcze w modzie. Na Zachodzie Europą Wschodnią zajmowali się głównie lewicowcy, którzy ukazywali rodzącą się tam opozycję w sposób tendencyjny i z gruntu fałszywy. Uznaliśmy więc, że należy oddać głos samej opozycji. Ten nasz program tak się rozwinął, że w tej chwili mamy już trzy wydania kwartalnika: jedno w Stanach, dla naszych abonentów w Ameryce i Europie Zachodniej, potem przewożymy „blachy”, czyli gotowy skład, do Polski, gdzie drukujemy kolejny nakład i bezpłatnie rozsyłamy do krajów Europy Wschodniej, po czym „blachy” wędrują od zeszłego miesiąca do Wilna i tam wykonywany jest dodruk dla czytelników ze Związku Radzieckiego. Pismo nasze u części osób wciągniętych w politykę wywołuje irytację z powodu drukowania autorów, których nie tolerują. Natomiast ludzie nie występujący na scenie politycznej za zaletę pisma po-czytują właśnie to, że obok siebie można na jego łamach znaleźć autorów, którzy nawet ręką by sobie nie podali.

● Jak w świetle aktualnej sytuacji politycznej ocenia Pani sytuację kultury polskiej? Ten problem bardzo nas bulwersuje. Kultura w wolnej Polsce nagle została pozbawiona stabilnego mecenatu. Mecenat państwowy jest mało skuteczny, a innego na razie właściwie nie ma. Groźniejsze jest jednak co innego: otóż w polskim społeczeństwie wyzwolone zostały, a w pewnym sensie również narzucone, prymitywne gusta artystyczne, którym zaczynają sprzyjać nie tylko kultura masowa, ale również różne szacowane instytucje kulturalne. Dość powiedzieć, że osławiona Mniszkówna, jeszcze do niedawna raczej wstydliwie wydawana, to obecnie fraszka w porównaniu z zalewem rynku księgarskiego szmirą i tandetą.

— Trudno zaprzeczyć, że kultura w Polsce przeżywa kryzys. Ale nie jestem taką pesymistką w ocenie gustów czytelników. Miło mi Panu powiedzieć, że gdy byłam w Warszawie przed Bożym Narodzeniem, książka, która się najlepiej sprzedawała w księgarni na Nowym Świecie, były „Kwiaty zła” wydane w Wydawnictwie Literackim, którym Pan kieruje, co świadczy, że nadal mamy do czynienia z czytelnikiem poszukującym dobrej, wartościowej i ładnej książki. Na pewno jesteśmy w okresie wielkiego zamieszania i pomieszania pojęć. Ale nie sądzę, żeby przetrwały wydawnictwa nastawione wyłącznie na drukowanie sensacji, np. MacLeana czy Ludluma. Chociażby dlatego, że MacLean nie żyje, a więc nie napisze już niczego, poza tym są to na ogół książki bardzo źle przetłumaczone i edytorsko niechlujne. Sama błyszcząca okładka nie nobilituje książki. W ogóle wolny rynek, hołdujący zasadzie swobody, wolności osobistej, opiera się na zaufaniu do ludzkiej natury. Mam za złe niektórym polskim wydawcom, że poszli na łatwinę i zaczęli zaopatrywać rynek wyłącznie w książki, które mogą rozejść się szybko w wysokich nakładach. Bowiem np. w Czechosłowacji nastąpił renesans rynku wydawniczego. Tam księgarnie znów przypominają takie, jakie widujemy na Zachodzie, czy nawet takie, jak były kiedyś w Polsce, kiedy wchodząc do księgarni można było bez trudu znaleźć dobrą książkę. Mam jednak nadzieję, że ta nienormalna sytuacja zmusi ludzi zajmujących się książką

C. D. NA STR. 11

ALES DEBELJAK ur. 25 XII 1962 r. w Lublanie. Poeta, esaista i krytyk literacki. Z wykształcenia komparatysta, filozof i socjolog. Jedną z wybitniejszych postaci młodej literatury słoweńskiej. Autor kilku zbiorów wierszy oraz książek eseistycznych i naukowych. Laureat wielu nagród jugosłowiańskich i międzynarodowych.

Debeljak ma jasną, zwartą i logiczną wizję świata. Nie jest to wizja radosna, ale zupełnie pozbawiona smutku.

Debeljak po prostu myśli o sprawach najważniejszych w sposób bardzo piękny.

Aleš Debeljak jest młodym, świetnym poetą; w tej chwili jednym z najbardziej znanych poetów europejskich swego pokolenia. Mogłoby się wydawać, że zły los kazał mu się urodzić w małym podbitym kraju i pisać w języku, którym posługuje się zaledwie dwa miliony ludzi na kuli ziemskiej. Słowenia nie jest miejscem, z którego łatwo przemawiać i być słyszalnym na dalekim świecie. A jednak usłyszano go bardzo szybko. Miał dwadzieścia kilka lat, kiedy jego pierwszy tom utworów poetyckich (Chronicle of Melancholy) ukazał się w Ameryce i został przyjęty bardzo dobrze. Nie będę wymieniał przekładów na języki europejskie. W Polsce kilka jego wierszy ukazało się przed paru laty w „Literaturze na Świecie”. Być może, ważne w tym wszystkim jest i to, że poeta miał szczęście do tłumaczy. Przekłady na język angielski są niemal bez wyjątku bardzo dobre. Niemieckie i włoskie — także. To samo można powiedzieć o przekładzie na język polski. Pani Katarina Salamun-Biedrzycka tłumaczy Debeljaka w sposób niemal idealny. W naszym kraju, w którym roi się od złych tłumaczy poezji, rzadko można z całą szczerością tak wysoko ocenić czyjąś sztukę translatorską.

Dla dopełnienia tej pobieżnej informacji chciałbym dodać, że wybór wierszy poety w języku polskim ukaże się najprawdopodobniej w tym roku, tuż przed Bożym Narodzeniem.

(MS)

SŁOWNIK CISZY

Aleš Debeljak

W wąskim cieniu domów leżą psy. Jeźyna i bluszcz obrastają chłodne mury. W kinie idą „Kochankowie Marii”. Ktoś w wilgotnej kawalerce pije

swoje ósme piwo. I rozbłyski burzy przesywają mu ciało. Nie słyszy furkotu spóźnionych jaskółek, spieszących na południe. Ostro jak krawędź ostrzygi tęsknota za białym wielorybem wżera mu się

w wosk mózgu. I w kość i w skórę. Powtórzy starą opowieść. W jego drżących mięśniach zbiera się rozżarzony płyn, w głowie krzyczą mu szalone ptaki i owady. W wiecznie zranionych oczach odbłask oceanu.

Dzieci już dawno śpią. Przez chwilę zdaje się, że skromna ilość ich przeżytych dni tutaj nie znaczy więcej niż popiół w jakiejś myśliwskiej opowieści. Innym daleś imiona z miłością, a jednemu z nich

przeznaczyłeś okręty, podróże, przekartkowane książki, niezgrabnie ułożone epitafium. Będzie znał więcej mądrych myśli niż srebrników, będzie okrutny dla zwierząt domowych, pewnej nocy w mieście, do którego będziesz chciał dotrzeć aż do śmierci.

zabije człowieka. Nie zatraci ekstazy szaleństwa, będzie lubił samotność i będzie tęsknił w strasznym bólu, by być czymś mniej niż własna sława. Będzie lubił poruszać się w ciemnościach, będzie mruczał o niebezpieczeństwie i śpiewie ptaka, który tej nocy marznie na okiennym gzymsie.

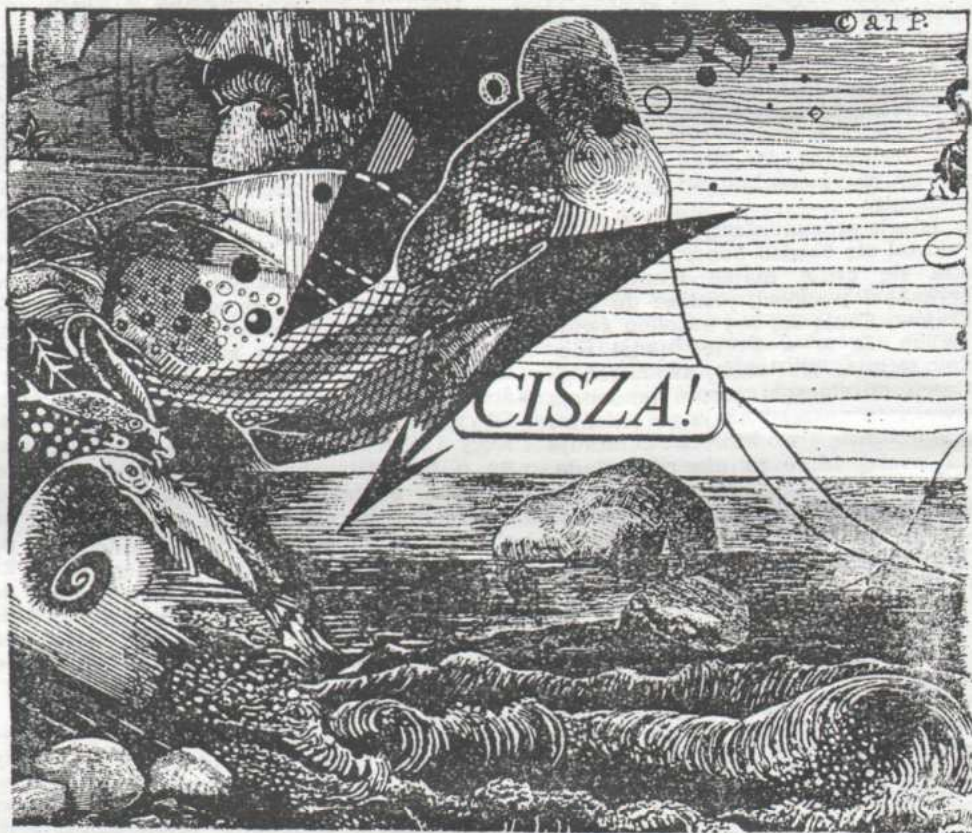
Ta sama zmora, to samo przywiązanie do alkoholu, to samo oczekiwanie na wieczne gdzie indziej: które do ostatka wypełnia się w roztworze z głowy meduzy. Jak źle odbity sztych. I donikąd rozpryskuje się

jad skorpiona, wyryty na nim. By się tu i ówdzie zmieszać z osoczem kogoś, kto odczuwa biały smutek świata. Rozpięty w ciszę morską. Która trwa. Jak delfin na okrężnej drodze przez morza. I na dnie

wyostrzonych zmysłów piecze gorycz, łyż, zmieszanie. Aż się każdy przychyla na krawędzi nocy jak spłoszone zwierzę. Aż każdy zamknie oczy: ale to na nic. — Gdy minie siódmy dzień, gra rozprysnie się na sceny z życia codziennego.

Przełożyła:

KATARINA SALAMUN-BIEDRZYCKA



Rys. Aleksander Pieniek

SENNIK CZESKI (IV)

Ludwik Vaculik

Prezentujemy następny i zarazem ostatni fragment dziennika wybitnego czeskiego prozaika, członka Karty 77, Ludwika Vaculika — w przekładzie Danuty Abrahamowicz.

ŚRODA, 7 LUTEGO 1979

— Nawet nie spytacie jak mi poszło na policajturze — wytknąłem przy kolacji synom.

— Jak ci poszło na policajturze? — spytał Janek.

Kiwnąłem jeszcze na Andrzeja i powiedziałem:

— No i co, jak ci poszło na policajturze?

— Będziecie zaskoczeni — powiedziałem.

Zaskoczony to byłem ja. Spodziewałem się, że znowu będą chcieli mi zabrać prawo jazdy, kazał mi dwa miesiące czekać na nowy egzamin z przepisów i przynajmniej trzy razy odesłać mnie z kwitkiem przy przeglądzie technicznym. W zeszłym roku użyłem sobie tego niemało. Podczas ostatnich pogroźek siwy pachnący mężczyzna z ciężkim złotym pierścieniem wypowiedział też jakieś mroczne obietnice, których sens starałem się rozszyfrować. Nie jestem na razie w nastroju do pisania o tych „gawędach”, ale jeśli mi się ten siwy mężczyzna z ciężkim złotym pierścieniem znowu przypomni, będę musiał. W przeciwnym razie mógłby pomyśleć, że jego słów nie traktuję poważnie.

Mundurowy, nieszkodliwy miły milicjant z drogówki sięgnął do kartek, znalazł moją i przeczytał mi: „Dnia 6 XII niewłaściwie parkowanie na rogu Targowej i Janowskiej ulicy, nie zachowana odległość pięciu metrów od

skraju skrzyżowania. To będzie sto koron”. Zapłaciłem i radośnie wybiegłem na ulicę. Normalny mandat za normalne naruszenie przepisów drogowych! Cieszyłem się. Szedłem ulicą w dół, zapragnąłem coś sobie kupić (żeby mieć uczucie, że za tę setkę coś sobie sprawiłem!), zastanawiałem się co, i był to wywoływacz z utrwalaczem, ponieważ mam robić fotografie do książki Simečki *Przywracanie porządku*. Dopiero po chwili przyszła mi do głowy mniej durna odpowiedź: „Czegoś tańszego byście tam dla mnie nie mieli?” To kiedy na wszystkich rogach widziałem wystające pyski i tyłki zaparkowanych aut.

W drzwiach naszego domu zderzyłem się z Janem Mlynárikim. Szukał mnie.

— Słuchaj — mówił wplątując słowackie słowa — w kwietniu Tatarka będzie miał urodziny. Przyjedzie do Pragi i byłoby wspaniale, gdyby na ten dzień była gotowa jego książka.

Odpowiedziałem: — To znajdź mi słowacką maszynistkę, skoro nie umiałeś nawet narysować daszka nad o!

— To nie będzie potrzebne, Skácel ma ochotę przetłumaczyć to na czeski.

— Co za bzdura! — powiedziałem. — Tego się nie da przetłumaczyć!

Ale w końcu przyrzekłem, że książka będzie gotowa.

Tylko że stale nie mam tego rękopisu przeczytanego. Jakoś się go boję, trochę się też wstydzę. Poza tym są tu rękopisy, które czekają dłużej. Reportaże Rumla, dwie nowe Bożeny Komárkovej. Zaproponowałem

przeczytanie jednej Ewie Kantárkovej, ale odmówiła, bo by ją to rozpraszało w pracy nad *Panem na wieży*. Drugą podsuwałem Iwanowi, powiedział że tak, ale kiedy skończy coś pisać. Więc spadło to znowu na mnie i na Gruša; wzięliśmy sobie po jednej. Gruša ma skłonność do prawdziwego redagowania rękopisów: *Krwawą Wielkanoc* Sachra dokładnie zmienił. A tego my przecież nie możemy robić! Ja tylko poprawiam błędy, ujednolacam pisownię wyrazów obcych, przerzucę słowo, zrobię na marginesie parę znaków zapytania i podsunę autorowi, aby to dopracował. Nie jesteśmy redakcją, byłaby to całodzienna praca, a guzik z tego mamy. Kiedy potem książka z „Petylicy” dostanie się za granicę, już jakiś sprytny emigrant z głową na karku robi na niej interes, sprzedając książkę podobno nawet za sto marek.

Pojechałem do Tuzetu kupić herbatę, kawę, whisky (to mi się udało: teraz wygląda na to, że mi potem tych sto marek posłali!) a tam w kolejce zobaczyłem Staszka Klimenta. Rozmawialiśmy czekając, na wózek o tej jego uroczystości, jakby były normalne czasy. Ale to absolutnie nie są normalne czasy, przypomniał mi to mimo woli sam Staszek i to bardzo dobitnie: tom wspomnień, który daliśmy mu na urodziny, udał się i dlatego zdecydowałem się jakoś przedłużyć swój dar tym, że go dam przepisać i rozdadam na przyszłym spotkaniu dawnym „Literárek”, wszystkim dawnym kolegom. Zdena książkę przepisała z soboty na niedzielę. C. D. NA STR. 11

NIEWYGODNY

Antonina Sebesta

„szczególnie haniebną jest nieobecność w jawnym życiu publicznym pisarzy i naukowców niewygodnych, zmarłych w kraju bądź na obczyźnie.”

List do premiera sygnowany przez KPSiN „Biuletyn Informacyjny KOR” 1980 nr 7.¹

Jednym z wymienionych jimiennie w liście „niewygodnych” był Andrzej Stawar, klasyk polskiej publicystyki sowieckiej. W PRL określano oficjalnie mianem marksistowskiego krytyka literackiego, publicysty i tłumacza. Powszechnie eksponowanie nazwy „krytyk” miało służyć ocaleniu publicystyki literackiej przed wyrokiem zapomnienia, który to został wydany po ukazaniu się *Pism ostatnich* w paryskiej „Kulturze”.

Stawar krytykiem był zwłaszcza w tych okresach życia, w których wchodził w skład zespołów redakcyjnych i z urzędu niejako pisał recenzje, przedmowy, szkice. Jego twórczość nacechowana temperamentem polemisty w znacznej mierze zbudowana została z dyskusji i komentarzy. Replika, rewizja posługiwał się w sposób świadomy, obca wypowiedź stawiała się dla niego impulsem i stanowiła inspirację do zajęcia własnego stanowiska. Z równą pasją polemizował z Irzykowskim, Chałasińskim jak i Trockim.

Aleksander Wat w *Moim wieku* (książce bez której „nie można rozprawiać o Stawarze” — jak uważa Miłosz²) stwierdza, że autor *Szkiców literackich* to publicysta o wyraźnym temperamencie politycznym. O Andrzeju Stawarze, publicyście i polityku polemizującym z najbliższymi mu ideowo, nawet profesjonalistami nie wiedzą wiele. Skuteczna bowiem była zмова milczenia najpierw środowiska KPP, potem stalinowców spod znaku Jakuba Bermana, wreszcie cenzury prowadzącej „świętą wojnę” z paryską „Kulturą”. Odstraszająco działała etykieta „trockisty” używana już od 34 roku.

W sierpniu mija trzydziesta rocznica śmierci publicysty, stanowi ona okazję do obiektywnego, nareszcie wolnego od cenzury, spojrzenia na jego dorobek. Przypomnienie tej daty i tej postaci wydaje się tym bardziej konieczne, że istnieje niebezpieczeństwo skazania Stawara na kolejne zapomnienie.

Twórczość Stawara w sposób niezwykle ostry ukazuje jak niebezpieczne są dogmaty. Od debiutu aż po ostatni artykuł autor

uwikłany był w pryncypia ideologiczne, dlatego też stosowana przez niego metoda krytyczna często była niewygodna. Liczne sądy i oceny nie wytrzymały weryfikacji historii. Po sześćdziesięciu latach jakie upłynęły od polemiki Stawara z Irzykowskim, czytelnik przekonuje się, iż opinia i uwagi autora *Walki o treść* były niezwykle trafne.³

Ponieważ literacki dorobek Stawara jest stosunkowo znany, pragnę w niniejszym szkicu mającym ściśle rocznicowy charakter zająć się jego publicystyką polityczną, pracami zamieszczanymi w *Pod prąd*, *Nurcie* oraz tezami z *Głos. Dominuje w nich problematyka sowiecka*. Tezy Stawara w latach trzydziestych były „bardzo nowe, rewelacyjne” (A. Wat *Mój wiek*, tom I, str. 64). Emigracyjni krytycy porównywali wrażenie jakie robiły do książki M. Dżilasa (*Lata pięćdziesiąte*)⁴.

W artykule *O biurokracji sowieckiej*, powstałym w 34 roku, Stawar stwierdził, iż „marksizm w ZSRR został zastąpiony rodzajem pragmatyzmu administracyjnego operującego marksistowską terminologią społeczną, stał się zbiorem skostniałych formułek i dogmatów”⁵. Warstwą faktycznie kierującą krajem była rozrastająca się z szybkością inflacji administracja. Doprowadziła ona z czasem do zamarcia instytucji przedstawicielskich, a jej wyrazicielem, „owocem realnego oddziaływania” stał się Stalin. Kultowi państwa (ideale nacjonalistyczne wprzęgnięte zostały do nowego ustroju) towarzyszył kult jednostki, będącej symbolem aparatu państwowego.

Przynajmniej sukcesu (w sensie długotrwałości rządów) Stalina widzi Stawar w gruntownej izolacji obywateli, całkowitej eliminacji krytyki i krytycznego myślenia z życia społecznego. W polityce Stalina wyróżnia dwa okresy — przed „czystkami”, do 1936 roku i po „czystkach”, trwający aż do śmierci przywódcy. Oba określa negatywnie, drugi nazywa tyranią, szaleństwem „ceзара jedynowładcy”, „sultana Wschodu”⁶. Zarzuca Stalinowi — oprócz morderstw politycznych — ignorowanie potrzeb narodu, stwarzanie ciągle zapalnych ognisk, groźnych wybuchem wojny lub wewnętrznych konfliktów. Ideologię stalinowską uważa Stawar za prowizoryczną konstrukcję administracyjną — usiłującą zneutralizować kolosalne sprzeczności wewnętrzne za pomocą kultu wodza. Po śmierci Stalina i po XX zjeździe KPZR nie dostrzega możliwości zmiany, bowiem skrytykowany został Stalin, a nie zasady, na których opie-

rało się jego działanie. Stawar wierzy w tzw. demokratyczne siły rewolucji, wierzy też w partię; pisząc *Głosy* w 61 roku nie wyobraża sobie innej siły zdolnej do reform państwa i ustroju, niemniej uważa, że nie posiadają one programu reformy.

Równie ciekawe są tezy Stawara dotyczące Rewolucji Październikowej. Patrząc na nią z różnych punktów widzenia (Polaka, krytyka literatury i sztuki, lewicowca), w tym też z pozycji zbliżonych do trockizmu. Twierdził, iż Rewolucja Październikowa była w pewnym sensie produktem ubocznym I wojny światowej, niespo-

stawowymi tezami trockizmu (idea permanentnej rewolucji, negacją sojuszu robotniczo-chłopskiego, negacją zasady pokojowego współistnienia kapitalizmu z socjalizmem) zaakceptował Stawar jego krytykę ZSRR. Stanowisko Stawara było odosobnione, lewicowa inteligencja nie miała odwagi krytykować Związku Radzieckiego, tłumacząc to jak Wat: „Stalin jest straszny, robi okropne rzeczy, ale to przecież jedyne państwo proletariackie. Stalin minie, a ojczyzna proletariatu zostanie”. (*Mój wiek*, t. I, s. 219). Stawar pragnął zmienić to stanowisko, dowodząc, że to co dzieje się w Związku Radzieckim jest jaskrawym wypaczeniem teorii marksistowskiej. Jako pierwszy ze środowiska KPP nazwał ZSRR państwem totalnym, wykazując, że: „Obywatel jest całkowicie i bez reszty zależny od aparatu państwowego”⁷, bowiem państwo pozbawia go podejmowania decyzji we wszystkich istotnych życiowych sprawach. Młode pokolenie od dziecka staje się obiektem polityki rządowej⁸. Obywatelowi daje się nakaz pracy, przydziela mieszkanie, opał a często żywność i odzież. Stawar nie zważał się porównać ZSRR z państwami ogarniętymi faszystem. Uważał, że Niemcy i Włochy opierają się na analogicznych zasadach — rozbudowanej aparaturze państwowej (zwłaszcza policyjnej), istnieniu monopartii i kulcie wodza⁹. Różni je jedynie cel do którego dążą.

Podgląd te spowodowały zerwanie Andrzeja Stawara z KPP oraz to, że nigdy, mimo licznych nacisków, nie związał się z PPR ani późniejszą PZPR. W okresie najsilniejszego terroru stalinowskiego nie złożył samokrytyki (za co miał do niego pretensje Broniewski¹⁰) i ukrywał się na Podhalu, o czym wspomina Stefan Kisielewski w *Abecadlu Kisielewa* (s. 105). Dlatego też większość piszących o Stawarze zarówno krytyków, publicystów jak i polityków ceni go za to, iż: „za podstawę swej godności uważał zawsze niezależność i wolność myśli”.



Andrzej Stawar

dzianką dla marksistów z II Międzynarodówki, bowiem okazało się, że nie jest konieczne, aby rewolucja socjalistyczna była tworem proletariatu fabrycznego sensu stricto⁷. W eseju *Orientalizacja*, napisanym w 37 roku, Stawar sądził, że z punktu widzenia społecznego wynik wojny domowej był swego rodzaju kompromisem między elementem robotniczym przemysłowych miast, a drobnomieszczaństwem i chłopstwem. Partia przygotowała się świadomie na klęskę wojskową i ferment rewolucyjny wśród mas, który nastąpił po zawarciu się dotychczasowego ustroju⁸. Twierdził, że rewolucja wyczerpała swoje siły przy opanowaniu wroga, bądź też obojętnej prowincji. A ścieranie się idei i zasad organizacyjnych proletariatu

jego stosunkami odgrywa — zdaniem Stawara — zasadniczą rolę w koncepcjach założyciela IV Międzynarodówki. Za błędne uznawał też przedstawione w *Historii rewolucji rosyjskiej* tezy mówiące o tym, że słabość miast przyczyniła się do umocnienia caratu. Krytykował pobieżność i zewnętrżność dokonanej przez Trockiego charakterystyki caratu. Zwracał uwagę na pomniejszanie czynnika natury wewnątrzspołecznej na korzyść czynników zewnętrznych, dokonywane w analizach Trockiego. Piętnował jego technokratyczne zapędy i faworyzację inteligencji zawodowej. Z dystansem patrzył na zawziętość polityczną (doktrynerstwo), zauważając iż: „...polityk broniący swej koncepcji przeważa nad historykiem”¹⁰. Polemizując z pod-

stawowymi tezami trockizmu (idea permanentnej rewolucji, negacją sojuszu robotniczo-chłopskiego, negacją zasady pokojowego współistnienia kapitalizmu z socjalizmem) zaakceptował Stawar jego krytykę ZSRR. Stanowisko Stawara było odosobnione, lewicowa inteligencja nie miała odwagi krytykować Związku Radzieckiego, tłumacząc to jak Wat: „Stalin jest straszny, robi okropne rzeczy, ale to przecież jedyne państwo proletariackie. Stalin minie, a ojczyzna proletariatu zostanie”. (*Mój wiek*, t. I, s. 219). Stawar pragnął zmienić to stanowisko, dowodząc, że to co dzieje się w Związku Radzieckim jest jaskrawym wypaczeniem teorii marksistowskiej. Jako pierwszy ze środowiska KPP nazwał ZSRR państwem totalnym, wykazując, że: „Obywatel jest całkowicie i bez reszty zależny od aparatu państwowego”⁷, bowiem państwo pozbawia go podejmowania decyzji we wszystkich istotnych życiowych sprawach. Młode pokolenie od dziecka staje się obiektem polityki rządowej⁸. Obywatelowi daje się nakaz pracy, przydziela mieszkanie, opał a często żywność i odzież. Stawar nie zważał się porównać ZSRR z państwami ogarniętymi faszystem. Uważał, że Niemcy i Włochy opierają się na analogicznych zasadach — rozbudowanej aparaturze państwowej (zwłaszcza policyjnej), istnieniu monopartii i kulcie wodza⁹. Różni je jedynie cel do którego dążą.

Podgląd te spowodowały zerwanie Andrzeja Stawara z KPP oraz to, że nigdy, mimo licznych nacisków, nie związał się z PPR ani późniejszą PZPR. W okresie najsilniejszego terroru stalinowskiego nie złożył samokrytyki (za co miał do niego pretensje Broniewski¹⁰) i ukrywał się na Podhalu, o czym wspomina Stefan Kisielewski w *Abecadlu Kisielewa* (s. 105). Dlatego też większość piszących o Stawarze zarówno krytyków, publicystów jak i polityków ceni go za to, iż: „za podstawę swej godności uważał zawsze niezależność i wolność myśli”.

¹ Motto: fragment cytowany za Martą Fik, *Kultura polska po Jalcie. Kronika lat 1944-1981*, Polonia 1989, s. 667; 668.

² Zdanie Miłosza z Przedmowy do *Mojego wstępu*, W-wa 1990, t. I, s. 16.

³ Karol Irzykowski, *Piła marksistyczna w Słońcu wśród porcelany*, „Lżejszy kaliber” Kraków, 1976.

⁴ Londyńskie „Wiadomości” nr 815 z dnia 12.11.1961.

⁵ Andrzej Stawar, *Pisma ostatnie* Andrzeja Stawara, Instytut Literacki, Paryż 1961; s. 55, 59, 75.

⁶ J.w., s. 241-252 i 269-274.

⁷ Op. cit., s. 280, 177.

⁸ (partia) Op. cit., s. 185 i 215.

⁹ (Trocki) Op. cit., s. 135, 110-114, 109.

¹⁰ Op. cit., s. 194.

¹¹ Op. cit., s. 273.

¹² Op. cit., s. 163-166.

¹³ Op. cit., s. 161 i 169.

¹⁴ Aleksander Wat *Mój wiek* W-wa 1990; t. I, s. 65.

¹⁵ Przedmowa do *Pism ostatnich* Andrzeja Stawara.

VARIA

23 STYCZNIA 1991 OD-BYŁY SIĘ WYBORY czteroletnią kadencję, zgodnie z nowym statutem PEN zarejestrowanym 7 VI 1990. Na prezesa PEN wybrano Artura Międzyrzeckiego, wiceprezesami zostali Anna Trzeciakowska i Jacek Bocheński, sekretarzem generalnym Alina Kowalczykowa, skarbnikiem Bolesław Fac. Członkowie zarządu: Marian Brandys, Andrzej Braun, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Ryszard Kapuściński, Urszula Koziół, Erwin Kruk, Zygmunt Kubiak, Egon Naganowski, Jan

Józef Szczepański, Andrzej Szczypiński, Jerzy Turowicz, Wiktor Woroszyński, Przewodniczący Komisji Rewizyjnej: Janusz Odrowąż - Pieniążek, członkowie: Irena Jurgielewiczowa, Irena Lewandowska, zastępcy: Jarosław Abramow, Andrzej Osęka, Juliuszowi Żuławskiemu nadano tytuł Prezesa Honorowego.

ARTUR MIĘDZYRZECKI — WICEPREZESEM FEDERACJI PEN. Na Międzynarodowym Zgromadzeniu Delegatów, które odbywało się 26 i

27 kwietnia w Paryżu, Artur Międzyrzecki został wybrany wiceprezesa Międzynarodowej Federacji PEN. Kandydaturę wysunął PEN Club francuski, wspierany przez 23 centra krajowe.

PRELEKCJE I SPOTKANIA. W pierwszym półroczu w warszawskiej siedzibie odbyło się 14 pen-clubowych wieczorów. Wystąpili na nich: Andrzej Wajda (14 stycznia), Witold Lutosławski (25 lutego), Ryszard Kapuściński (4 marca), Alexandre Blok (11 marca), Jacek Woźniakowski i Jerzy Reguła (22 kwietnia), Bronisław Geremek (6 maja), Gustaw Herling-Grudziński (13 maja), Artur Międzyrzecki, Andrzej Braun, Roman Loth

i nowojorscy przyjaciele Jana Lechonia (16 maja), Jerzy Turowicz (27 maja), Jerzy Waldorff (10 czerwca), Andrzej Szczypiński (18 czerwca).

W Gdańsku odbyły się pen-clubowe wieczory: „Historia Żydów gdańskich” (12 kwietnia), „Pisarze rosyjscy wobec systemu totalitarnego” (29 kwietnia), „Spotkanie z Ukrainą” (17 maja). We Wrocławiu PEN Club zorganizował cykl spotkań wspólnie z Osolineum. W Poznaniu — cykl odczytów dla szkół. W Kra-

kowie — sesję „Żydzi w Karpatach”.

NAGRODY. Przyznano do-rocne nagrody PEN Clubu: 1. im. Jana Strzeleckiego — Bohdanowi Cywińskiemu (18 lutego), 2. im. Ksawerego Pruszyńskiego — Hannie Krall, Jerzemu Korczakowi, Ryszardowi Legutko i Małgorzacie Szejnert (26 marca), 3. Marynistyczną im. Komandora Szczesnogo — Andrzejowi Braunowi za publikację conradowską (24 czerwca), 4. Edytorską — Władysławowi Kopałskiemu (24 czerwca).

Jak wściekle psy...

Andrzej Braun

Tej nocy Stefan przebywał w „Olivii”. Wjeżdżali samochodem szosą Elbląga. Dzień był ciepły, złocisty, przepalony światłem, jak gdyby cały świat umyło, wygładzono i powleczono lśnieniem. Chabrowy błękit nieba, intensywny, w pełni jeszcze letni, choć z ledwie dostrzegalną jesienną patynką, znacząca tkliwość wrzesniową, znużenie końca sezonu. Na nim białe obłoczki, z rzadka grupujące się nad lądem, nad wieńcem wzgórz morenowych o zieleni już lekko przejrzałej, wzgórz ciągnących się równoległe do morza i przecinanych pionowymi blokami uniwersyteckiego osiedla. Już na ulicach Gdańska wydawało się jakoś święte, z ożywionym ruchem na jezdniach, ale bez tłoku, raczej spacerowo, niedzielnie. Dzień był wolny od pracy, w ogóle dzień był wolny, i ludzie byli wolni. To się widziało na każdym kroku. W ruchach spokojnych i godnych, w ożywionych twarzach, w radości, braku zdenerwowania czy pośpiechu, w ludzkiej pewności siebie. W alejach, na wiaduktach czy rondach ani śladu milicji, tej nieodłącznej części miejskiego pejzażu, nie było także historii plakatów, napisów, postulatów i żądań. W kilku miejscach święte transparenty witały ponad jezdnią Pierwszy Krajowy Zjazd „Solidarności”. I afisze, pogodne, jakby na Dzień Dziecka, ukazujące rocznego malca z uśmiechem i chorągiewką w dłoni. „Solidarność” liczyła rok i nieciła płomień nadziei. Również owe afisze stały się wkrótce polem walki, łagodnej jeszcze, cywilizowanej — walki na słowa i hasła. Pojawiła się wkrótce ich parodia, tenże malcek z płonącymi zapalkami w rączkach i podpisem: „Ostrożnie z ogniem”. Te z kolei zalepiane były paskami z nadrukiem: „Zapalki krajowe, pożar nie grozi!”.

Ale to było później, owego dnia w słoneczny weekend atmosfera święteczna górowała. Halę „Olivii” o nowoczesnych betonowych łukach dostrzegli zaraz z szosy na odkrytym zielonym terenie, otoczoną pstrym rojem tłumów, powiewającą biało-czerwonymi flagami. I od tej chwili, gdy przekroczyli próg holu, aby dokonać rejestracji i otrzymać plaketkę „gości zjazdu” — znaleźli się jakby w przedstonku jakiegoś innego świata. Lada chwila winien by zjawić się tu Święty Piotr, w aureoli, u jakiejś furty niebiańskiej, spoza której byłyby światła serafickie, niosły się dźwięki harf, głosy chórów niebieskich i tchnęła woń lilii. Ów Święty zaś rozpytywałby o ich życie doczesne, a oni, uwolnieni od ciężaru grzechów, brzemienia rzeczywistości, przemienieni i oczyszczeni jak w dniu przyścia na świat, tchnęliby blaskiem odrodzenia, rozpoznając owe czyste dusze swoich znajomych „z życia”. w innym wymiarze czasu. Miast tego kręciły się tu cheruby ze światłem w młodych oczach, strugami rozpuszczonych włosów, z bródkami i wąsikami, w dżinsach, kombinezonach i spodniczkach, z opaskami „Solidarności” i oznakami porządkowych funkcji — podchodzili, selekcyjonowali przybyłych, rozdając informatory, skierowania i kupony, prowadząc na właściwe piętra, do wejść do sektorów. I było w tym coś odświętnego doprawdy, jak w dniu ostatecznym. Z twarzy tych istot tchnę-

ła wolność, radość, oczyszczenie. Ich ruchy, sprawna przyjaźliwość, a nade wszystko ich spojrzenia czy mowa, były inne niż gdziekolwiek na ziemi. Oznajmiały: tutaj króluje prawda oraz wolność, życzliwa solidarność i pragnienie lepszego jutra — jeśli o jakimkolwiek jutrze mogła tu być mowa w tym świecie poza czasem, w owym wieczystym dzisiaj, tu i teraz. Kłamstwo, lęk czy hamulec, realizm i ostrożność życiowa, sceptycyzm bądź też konformistyczną bierność zostawiało się tutaj w szatni i podążało lekkim krokiem, pozbawionym brzemienia grzechu, za młodymi przewodnikami. Już w kolejce do rejestracji pojawiali się co chwila znajomi, inni krążyli w przeszklonych kuluarach, już przyjęci,

światel i widzieli tam, w dole, rzędy nowej armii, budowniczych innego wreszcie społeczeństwa, zgromadzonych z całego kraju — Samorządnej Rzeczypospolitej. Jej prezydium w blasku reflektorów, głosy dobiegające z megafonów. Zaiste, było to dziwne zgromadzenie, które tu objawiło się w całej swojej wielkości, porządku i powadze... A najdziwniejsza była we wszystkim tym świadomość, że to nie inny kraj, ni czas, ni ludzie, ale ci sami robotnicy, studenci, uczeni, którzy istnieli w kraju tym dotychczas, a jak gdyby ich dotąd nie było. Więc to nie stanowiło przekroczenia jakichś bram niebieskich, ni wejścia do pojazdu z Marsa wypełnionego innymi istotami — lecz rozgrywało się tu, na tej samej ziemi, i pośród wspólnej rzeczywistości. Tkwili tam, wśród tej hali rozjarzonej światłami, wszyscy ludzie, którzy w tym kraju cokolwiek znaczyli, którzy znaczyli jako ludzie właśnie, bo zabłysnęli człowieczeństwem, odwagą i uczciwością — cechami, które od lat już tutaj były przedmiotem drwiny, szyderstw, pomniejszania. Którzy rozsądek, sumienie oraz godność ludzką odgrzebywali jak skarby archaiczne, czyniąc je podstawami przyszłego istnienia. Którzy znowu przywrócili wszystkie Dziesięć Przykazań Boskich, unieważnionych co do jednego.

Bo wiem to nie wygląd tych ludzi — chociaż przemienionych — nie zgromadzenie ich tutaj wszystkich w jednej hali, w dostojności, w godności, w powadze, były tym, co zdumiewało Stefana. Zaskakujące okazały się słowa, które brzmiały niezagłuszone z megafonów — naturalne, swobodne, prawdziwe. To zwykle nazywane rzeczy po imieniu, logiczne, otwarte i uczciwe. Właśnie fakt, że ci ludzie po prostu mówią tak jak myślą, bez belkotu frazesów, kłamliwych figur sty-

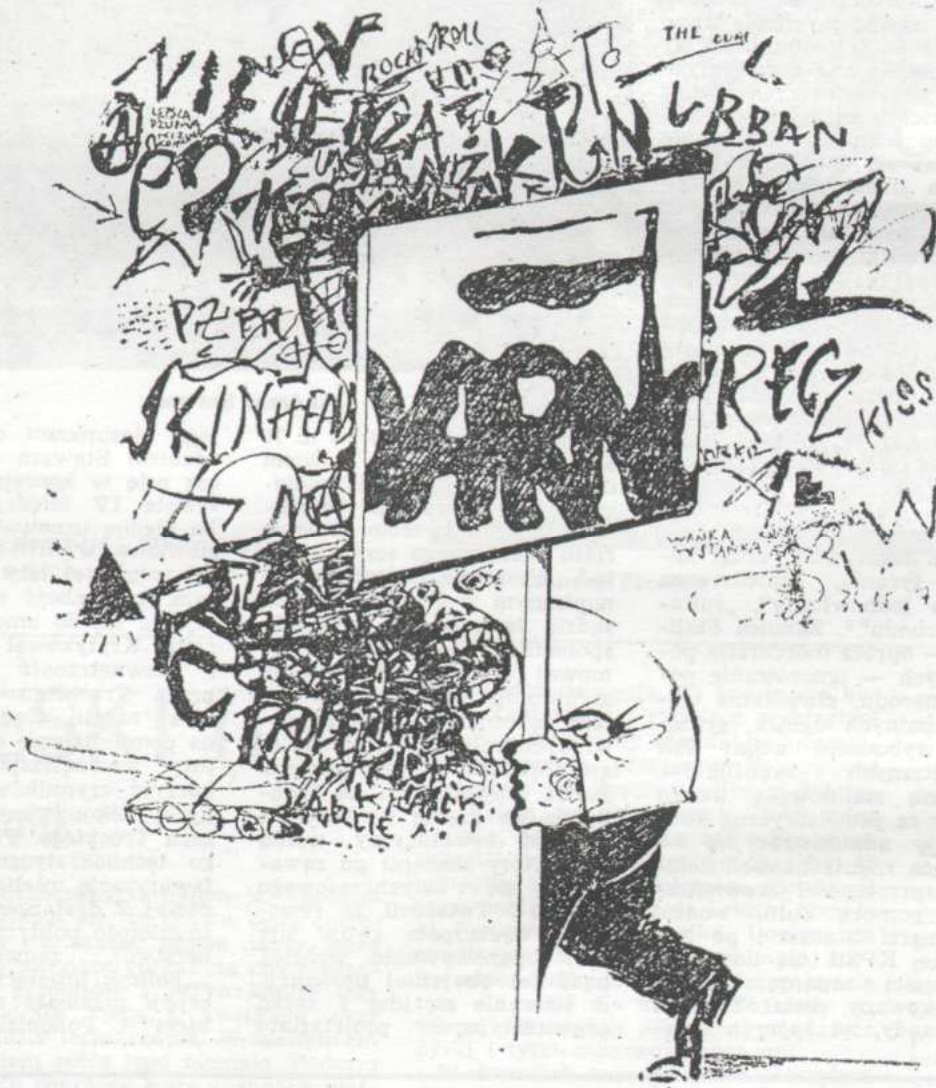
wych przestępców, cynizm cenzury i bezbronnością obywateli tego państwa, deprawacją szkół, czy okryty tajemnicą wyzysk kraju... Wymieniali kolejno wszystkie grzechy główne — i już to samo stanowiło program odnowy. Nade wszystko jednakże lamali święte tabu, odrywali nietykalne pieczęcie milczenia. I fakt ów spełniał rolę katharsis, uzdrawiającej siły oczyszczenia. Tylko dla ludzi wyrosłych w kłamstwie i z tymże kłamstwem pogodzonych wydawać się to mogło pustym deklamatorstwem — prowokacją.

Dla Stefana zaskakującym było, iż tylu ludzi, nieznanych, prostych ludzi w Polsce, myśli i mówi to samo. Ginęło gdzieś jego osamotnienie, jak sądził, w owym lankieniu prawdy i jawności, alienacja pośród biernego otoczenia. Więc nie on jeden tak myślał i odczuwał; tutaj w słowach nieznanych ludzi objawiała mu się owa wspólnota bratnia oraz towarzyszące jej uniesienie. Te chwile tu przywracały mu Polskę, naród i nadzieję. Jakby się budził z długiego koszmarnego snu, gdzie — jak to we śnie właśnie — nie można było przerwać tego, co prze-
raza...

W łęc śniło mu się, że przeżywał jak gdyby sen we śnie. Wycho-
dzili w trakcie owych przemówień do obszernych kuluarów i holi, między grupy dyskutujących zawzięcie, witających się głośno, pozdrawiających okrzykami. Cóż za postacie wokół! Oto znana aktorka, od lat szycianowana za to tylko, iż ma własne poglądy, i że wiernie się trzyma ich w życiu. Rezygnując z możliwości scenicznego działania, z narkotyku oklasków i pochwy z tego, co jest ulugą sztuki, blasku istnienia tu i teraz w jednym niepowtarzalnym strumieniu czasu — ośmieliła się być osobą, a nie tylko wykonawczynią ról, przelamując służebną funkcję błazna czy komedianta do wynajęcia. Odrzuciła konformistyczną rolę „artysty” udającego, iż poza „sztuką” nic poważnego nie istnieje. Ów bunt trefnisia, który przypomniał, że jest również człowiekiem, wstrząsnął środowiskiem aktorskim, dotąd występującym się ulegle w zamian za rozgłos, nagrody, reklamę, w wygodzie uspiętego sumienia i braku godności. I za to właśnie, za tę zmianę etosu artysty, stała się ona przedmiotem nienawiści mecenatów. Ale tutaj, jakby w innym układzie, otaczał ją szacunek ludzki. Szacunek robotników, inteligencji, młodzieży.

Doprawdy, zaskakujące to było przemieszenie środowisk i kręgów społecznych. Działacze robotniczy, najbardziej autentyczni, nie z nominacji, lecz z wyboru, stocznicy i górnicy, uczeni i profesorowie, księża i studenci, młodzi chłopcy, włókienkarze i general, kolejarze, portowcy, uczniowie. Pierwsze tak naturalne przemieszenie ludzi pracy i ludzi rozumu. Ktoś udzielał wywiadu — stary działacz komunistyczny, wyrzucony z establishmentu, który pragnął być wierny rozsądkowi. Ktoś inny perorował głośno — to znany z Października „dysydent”, nie złamany w swoim idealizmie społecznym, i wielu, wielu innych, których Stefan długo mógłby wliczać, ludzi z różnych czasów, z różnych miejsc. I byli to niby ci sami — a jednocześnie jacyś inni, przetworzeni, w odmiennych rolach, właśnie jak dusze, co się pozbyły grzesznych ciał, z uśmiechem przeproszenia, że ja to właśnie tu, teraz ten prawdziwy, i że to wszystko zostało ujawnione, wszelkie fałszywe wcielenia zniknęły, pomyłki wyjaśnione w radosnej niespodziance — jak w happy endzie. Twarze z telewizyjnych ekranów i twarze młode, nieznanne, twarze, których by Stefan nigdy się nie spodziewał tu zastać, i twarze ludzi widzianych po raz pierwszy, choć o nazwiskach tak znanych. Ili ich przeszło ewolucję i bunt, a ilu dopiero co dojarzono? A więc tak wyglądało owe dziesięć milionów ze znaczkami „Solidarności” w klapach — żywy naród, poza skostniałymi strukturami?

W tym głodnym kraju bufety były pełne — przyszły tu do nich same restauracje i sklepy, kucharze i kelnerki, by obsługiwać swoich. To nie instytucje czy zarządy, to kierownicy przyszli przewozić, pokojówki zakwaterować, ekspedycjoni sprzedawać, kucharze żywić. To świat pracy wszechpotężny i wszechmocny sam siebie obsługiwał i sam sobie służył. Demonstrował swą samowystarczalność od podstaw.



już tu włączeni — i to było zaskakujące, bowiem tych ludzi znał od wieków z całkiem odmiennych okoliczności, z mrocznych okresów, z etapów nienawiści, chytrości, udreczenia... I oto wszyscy oni zostali zbawieni, są tutaj znowu, cała Polska prawie, znajoma choć odrodzona. Szli więc za tymi przewodnikami w nową rzeczywistość, wśród innych istot widzianych po raz pierwszy i wśród tych znanych, a odmiennych. Siadali na wskazanych im miejscach, w sektorze dla gości, wśród tej bezkresnej hali pod kopułą

listecznych, bez aluzji, asekuranctwa i zakłamania nowomowy, to się stawało jak gdyby wstrząsem, nagłym odzaranowaniem.

Wchodzili na mównicę w blasku światel złocistych w dole, niewidoczni niemalże stąd, z gościnnych trybun — i tylko głosy ich słychać było wkoło, donośne, spotęgowane głośnikami tak, że wydawały się istnieć niezależnie od figurek ludzkich, czyste, dobitne i wyraźne. Mówili krótko, po kilka minut zaledwie odcedziwszy wszystko, co zbędne, wydobywając samo sedno sprawy, jej kwintesencję. I oto Stefan uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy od wielu lat słyszy katalog win i kłamstw nigdy dotychczas nie nazywanych publicznie, choć oczywistych dla każdego: manipulacje propagandy, dyspocyjność sądów i bezkarności rządo-

W kuliach była wystawa książek i czasopism z tak zwanego drugiego obiegu, czyli „nielegalnych”. Witryny i gabloty pełne szarych kartonowych okładek ze źle odbitą brudną farbą, z trudem czytelną czcionką, mikroskopijnym offsetem, bladym hektografem. Jak w muzeach z historyczną „bibułą”, rewolucyjnymi drukami z początków stulecia, którymi tak się chlubił ów ruch, który ich teraz zakazywał, egzotyczne niczym okupacyjne gazetki za szkłem, widniały tam całe komplety „Robotnika” i „Biuletynu Informacyjnego”, „Zapisu” i „Pulsu”, „Głosu”. „Drogi”. „Krytyki”. Inny świat, lata innej prasy i trudu, innego myślenia. Obok, na kiermaszowych stoiskach, sterty książek i broszur o wymazanych czy wykreślonych z życia nazwiskach i tytułach. Historia, ekonomia, dokument, poezja, książki poruszające Europą, mówiące prawdę o Polsce i jej dziejach, pogrzebane latami milczenia. Kasety z recytacjami i pieśniami, zeszyty i zgrabne tomy rozchwytywane były masowo przez czekających w długich ogonkach, młodzież, dziewczęta — ludzi. Tu jawnie oraz w świetle dnia prezentowane było wszystko to, o czym nie wolno było wiedzieć, czego nie wolno było znać i rozumieć, o czym nie wolno było myśleć, a przede wszystkim pisać, mówić... Czy istocie takiej, jak człowiek — myślał Stefan — można zaobronić wiedzieć?

Wychodzili na zewnątrz w słoneczny blask południa, w błękit, zieleń i mrowie ludzkie. Wokół tej betonowo-szklanej arki zjednoczenia na parkingach czekały rządy autokarów i ciężarówek. Na każdej flagi, emblematy związku — z tabliczki, skąd przyjechały: Katowice, Lublin, Olsztyn, Poznań, Białystok, Wrocław, Świdnik... czy też Huta Lenina, Stocznia Szczecin. Z drzwi autobusów, spod płacht samochodowych młodzi ludzie sprzedawali tu sterty swych regionalnych związkowych czasopism i gazet. „Głos Związku”, „Solidarność Szczecińska”, „Dolnośląska”, lub „Wolny Hutnik”. To była ta obecna ich prasa, już rotacyjna, już oficjalnie drukowana. Najnowsza, świeżo odbite wydania z informacjami ze zjazdu. Przywozili je z dumą, na znak, że i oni tam żyją też tym samym. Zdumiewała tak niezwykła aktywność całe lata milczących środowisk. To była owa Polska, która przemówiła, to był ich czynny stosunek do słowa, już im nie wystarczyło słuchać i czytać ukradkiem.

A obok tego jeden wielki jarmark, targowisko, jak na odpuszcie. Sprzedawcy czapek i koszulek z czerwonymi emblematami związku, znaczki, wisioriki wszelkiego rozmiaru, plakaty, widokówki, torebki, kasety, płyty i medaliki. Naturalny ludowy kiermasz pod znaku Orła, Matki Boskiej, Kowalicy, Zjazdu i Robotniczej Wolności.

Jeżeli coś szczególnie wstrząsnęło Stefanem, to właśnie widok, jaki się był rozciągał na zewnątrz hali zjazdowej. Wokół gmachu ciągnęły się tarasy, zieleńce i odkryte tereny dojazdów. W oddali szosa, arteria Trójmiasta, z drugiej strony cofnięte wieżowce osiedla. Za nimi wzgórze lasiste i przestrzeń nakryta niebem błękitnym bez kresu, w potokach blasku i lśnienia pogody. Już na tarasach, wokół megafonów, których pionowe kolumny otaczały ściany, za szkłem oddzielającym od wnętrza i zgromadzonych delegatów, ciemniało morze tłumu, mrowisko ludzkich głów, pstrokaczna letnich ubiorów. Korzystając z pięknej pogody, z wolnej soboty i niedzieli, na błonia otaczające „Olivie” ściągnęła, sądzić by można, cała ludność Gdańska, Sopotu i Gdyni. Przyszli tu całymi rodzinami, z dziećmi, babciami, z wiktem. Obozowali jak na olbrzymim odpuszcie, przejęci jednym tylko — tym, co się tutaj dzieje. Co się głosi, rozstrzyga, decyduje... Było to spontaniczne i naturalne, dowodziło ponad wszelkie argumenty i kłamstwa, że uznali ów zjazd za swój własny i za swoje rozstrząsane na nim sprawy. To właśnie go różniło od wszelkich imprez zamkniętych, które się zwykle rozgrywały w obojętnym otoczeniu miasta „żyjącego swoimi sprawami”, że ów kongres poprzez swe szklane ściany poszerzał się na otaczające go beztrojskie tłumy, że nie istniała granica pomiędzy tym, co wewnątrz i na zewnątrz, i że uczestniczyli w nim wszyscy w zasięgu wzroku, słuchu. Mężczyźni, kobiety oraz młodzież słyszeli przez megafony każde słowo, każdy argument i kontrargument, wszystkie owe złamane tabu i od lat niedozwolone herezje. Bo tutaj wszystko było

jawne, kontrolowane przez całe społeczeństwo — i ta jawność właśnie, złamanie barier czy stopni wtajemniczeń, odwaga i otwartość dyskursu o głównych, najbardziej rzeczywistych sprawach publicznych, miały cechy niezeczywistości prawie. Tysiące rodzin przysłuchiwały się uważnie, lecz w spokoju, czasem oklaskiwano jakieś słowa, ale wszystko to bez napięcia, normalnie. A nie było tu ani telewizji, ani władzy, ni mundurów. Gdzieś daleko na szosie przejechał raz łazik z milicjantami w hełmach i żołnierzami WSW, ale z dala, nie zbliżając się, chyłkiem, ledwie go Stefan zauważył. Nawet ciągłego ruchu samochodów nie regulował nikt, prócz kilku młodych ochotników w cywilu. I panował porządek, i spokój, i luz w tym swobodnym skupieniu tłumów.

W ięc przez chwilę wydawało się Stefanowi, że znalazł się już w innym świecie, w którym nie było cenzury, donosów, ale jawność i pełna wolność słowa, gdzie nie było milicji i bezpieki, wojska i czołgów, telewizji, zakazów, oszczerstw, kłamstwa, nie było partii, ani rządu, dyrygentów i pokornego plebsu, „obozu” oraz przyjaźni na granicach, nie było nawet Związku Radzieckiego. Całej owej uświadomionej konieczności, która znaczyła wolność przez blisko czterdzieści lat...

Ach nie! Brüder, nicht diese Töne! jakby zawołał Beethoven.

Godzina szósta rano na budziku. Ktoś w mieszkaniu Stefana otworzył radio. General-premier, po hymnie narodowym, ogłaszał wprowadzenie w kraj stanu wojennego.

Stefan zmęczony wracał po dyżurze. Chciał wpaść do domu, przespacerować się choć trochę, postanowili przecież czuć tu w zarządzie przez dzień i noc bez przerwy. Budynek ich mieścił się w neowaligicznym punkcie stolicy, należało się zatem spodziewać, iż w każdej chwili zając go może milicja. Tym bardziej musiał tam stać ktoś przebywać, strzec przed aktami bezprawia — chociaż kto wie, co dziś stanowi prawo, a co bezprawie. Ze względu na wprowadzoną godzinę milicyjną, trzeba się było liczyć, że któryś z kolegów, kogo chwila ta dopadnie na ulicy, musi w lokalu związku znaleźć schronienie. Stefan niepokoił się również, czy nie szukano go czasem w domu, albo nie czeka nań wezwanie do stawienia się w bezpiekę. Wielu kolegów w ciągu dnia otrzymywało takie wezwania, jeżeli akurat nie było ich w domu. Jedni się zgłaszali, wracali po rozmowach — inni nie.

Zbliżał się był właśnie do Mokotowskiej, pragnął bowiem zobaczyć chociaż z zewnątrz, co dzieje się w siedzibie „Mazowsza”, w Regionie. W niezwykłej atmosferze, jaka tu panowała na ulicach — ulicach dosyć pustych nawet jak na niedzielne popołudnie — lecz przede wszystkim w tym, co dostrzegano na twarzach ludzkich, czytać mógł całą gamę nastrojów i uczuć. Większość przechodniów spojrzenia miała ponure i martwe, jak gdyby chcieli ukryć wszelkie swe reakcje, aby nie z tego, co przepełniało ich dusze, nie wydoszło się na zewnątrz — aby zatrzymać to w sobie dlatego właśnie, iż było owych uczuć tak wiele. Napięcie i samokontrola, jak to pamiętał Stefan z czasów okupacji, w obliczu niebezpieczeństwa. Gdzieś tam młodzież, podniecona, dyskutująca cicho, wciąż jeszcze nieświadoma, jak się publicznie zachować. Jak mając te patrole i wachty — patrzeć na nich? Odwracać głowy? nie dostrzegać? Jak im dał odczuć pogardę i obcość, to wszystko, co kipi w sercach? Czy też odwrotnie, okazywać powszechność uczuć, demonstrować swą solidarną więź zwyczajnych ludzi przeciw nim, czy ponad nimi raczej. To wydawało się Stefanowi jasne: nie wiedzieli, nie było nigdy czegoś takiego na ich warszawskiej ulicy. Pierwszy to przecież mrok wojenny, jaki przeżywali. Jeszcze inni, a tacy są zawsze, zachowywali się w ten sposób, jakby się nie stało. Nie widzieli niczego, byli „prywatni”, oddzieleni — i swą prywatnością drażnili najbardziej, jak gdyby nie należąc ani do jednej, ani do drugiej strony. Taszczyli dzieci, prowadzili małżonki, pilnowali piesków, rękł-byś w drodze z imieniem, czy na imięninę. Na szczęście nikt się nie mizdrzył do żołnierzy, nie zapytywał przy-

milnie, co wolno, a co nie wolno, legalizując pozór zwykłej relacji ludności oraz władzy. Były to wszakże dwie rzeczywistości nałożone na siebie, czy też obok — a przecież przenikające się wzajem.

Najbrutalniej i najprościej zarazem ujął to wściekły taksówkarz, okazjonalnie podwożący Stefana. Był wymowny, nie krył się, w dotychczasowej swobodnej formie. „I to wszystko wyszykowali narodowi, żeby utrzymać się przy złocie...” Sławiona mądrość warszawskich taksówkarzy, ten głos ulicy zamkniętej w popularnym dwuwierszu: „Wróć się Edziu do koryta, lepszy złodziej niż bandyta...” Stefan nie podjął oceny. Może to już prowokator? Długie lata czujności, i krótkie miesiące prawdy. To się już odeisnęło na nim.

W wąskim tunelu Mokotowskiej z dala zobaczył mrowie ludzkie. Tłum gęstniał, gdy się zbliżał do placu Trzech Krzyży, dalej, poza plecami zgromadzonych, hełmy oraz błyszczące maski, kordon ołowianych rycerzy. Stefan przypomniał sobie o Irene. O niej, i o innych dziewczętach pracujących w biurze Regionu. Właściwie po to tu szedł, gnany podświadomym niepokojem. Wiedział, że siedzą tu bez przerwy, wyżywając się wśród młodzieży, wyladowując swoją energię i zapał. Pamiętał styl, jaki tam panował, a który kojarzył mu się z pierwszymi latami Zetwuemu. Rewolucyjność upodabniała się jedna do drugiej, zaś te dziewczęta do temperamentu wieczne rewolucjonistki. Bawiło go to, gdyż tylko on rzeczy owe pamiętał. Oni i one byli na to za młodzi. Kiedyś załatwiał tam też jakąś sprawę ze związkowymi działaczami kultury i wstąpił pewnego wieczoru. Budynek oblepiony afiszami, ulotkami, schody przed cofniętym frontem i hol zatłoczony młodymi. Kręciło się dziesiątki osób, zaaferowanych, zbiegających z pięt, wymieniających okrzyki, uśmiechy. Wszyscy tu byli niezmiernie zajęci, mijali się, przebiegali wokół, konferowali przy oknach. Służbowi w opaskach, przepuszczający zadomowionych, lecz ich legitymujący surowo; wszędzie pełno skrzyń jakichś, stert papieru. Tylko ich ubrać w skrzyżowane taśmy nabożów, marynarskie koszulki i karabiny w dłonie... Ale nie — to już było coś całkiem innego, dzinsy, „walkie-talkie” przy uszach. A jednak klimat dworca, lotniska, bądź frontowego sztabu. Owa młodzież z radiotelefonami, pośród skrzyń pełnych wydawnictw i bibuły — przemieszanie archaicznych rekwizytów z nowoczesnością, z techniką. I obok skrzynek, nie rozpakowanych bagaży — kolorowe telewizory. Na górze, za ciasnym przepięrzeniem z dykty, w dziale kultury, u samego szefa — podobnie. Nie było krzesel, siedzieli na deskach od paki, ktoś bębnił na maszynie, migał barwny ekran z wyłączoną fonią za plecami. Niedopałki gasili o podeszwę — zupełnie, myślał, jak ongiś w czterdziestym piątym roku.

A teraz wychodzili. Po pierwszym najściu, groźbach, szarpaninie, wygarniano ich brutalnie na ulicę. Minęło podniecenie, wzburzenie, euforia, teraz nagle dotarli do nich strach. Wszelkie pozory opadły jak dekoracje, przed nimi była siła, brutalna siła. Siła wywołująca lęk. To się zdawało ponijające w pierwszej chwili, gdy kojarzyło się z bezprawiem, z brutalnością, z gwałtem, gdy istniało w kategoriach moralnych — w świetle prawa, w cywilizowanych warunkach. Teraz, gdy zobaczyli te twarze, hełmy, pały — teraz objawiło się to w odczuciu fizycznym, łączyło z bólem,

okrucieństwem, przerażeniem. Bo otoci, naprzeciw gotowi są zabić. A więc głupi, przejmujący strach.

Stefan widział z daleka, poprzez głowy patrzących ludzi, ów kawałek pustej ulicy, szpaler zomowców w hełmach, szykujących jak gdyby „ścieżkę zdrowia”, według wypróbowanych bestialskich wzorów. Narastające podniecenie tłumu udzielało się także jemu.

W drzwiach budynku „Mazowsza” ukazały się pierwsze postacie dziewcząt, chłopaków, kobiet, mężczyzn. Z wewnątrz dolatywały jakieś krzyki, tupot i łomot. Gromadka wypchniętych na schody zatrzymała się w dziennym świetle ulicy, spłoszona i niepewna, zdezorientowana. Poganiały ją okrzyki przez megafon:

— Rozchodźcie się! Rozchodźcie...

Poblądle twarze, mrugające, niezdecydowane spojrzeń. Zobaczyli puste schody przed sobą, ludzi odepchniętych. Z dala, pojedyncze postacie milicjantów i ten kordon naprzeciw — w maskach, w hełmach, z pałami, z tarczami. Ten rząd niesamowitych figur, robotów, automatów. Mur oprawców odgradzał ich od przechodniów, od milczących mieszkańców, tłumu. Owe hełmy i pały były pomiędzy nimi a społecznością miasta. I nagle cała ich uwaga skupiła się na tych postaciach naprzeciwko, na ich rymsztunku i gestach, złowrogich, gotowych do akcji, wręcz niecierpliwych. Owe pały fascynujące wzrok, owe buty, nogi w rozkroku, ramiona uniesione i gotowe. Tylko to istniało w danej chwili — kiedy ruszą, kiedy posypią się razy. Już czuli ból, już słyszeli świst, już widzieli siebie na ziemi... Zimny pot, mdła wizja śmierci, przerażają.

Stefan dostrzegł Irkę; wahała się w tej gromadce w zejścia. Irka czuła oddechy swych koleżanek za plecami. I nagle posłyszała męski głos, przenikliwy, powtarzający z naciskiem:

— Nie bać się. Nie wolno bać się... Im właśnie o to chodzi.

Ruszyli z wolna po stopniach.

— Nie bać się — powtarzał ciągle ten sam głos. — To jest właśnie nasze zwycięstwo. Przede wszystkim nie wolno się bać!

O druchowo ujęli się za ręce. Schodzili krok po kroku ściskając wzajemnie dłonie. Jedyny znak solidarności. Tylko te ręce rozgrzane, na mrozie, tworzące wąty obwód, którym płynęło ciepło życia, jedyna nie wspólnota przed samotnością, przerażeniem. Tą nicią przepływała odwaga i braterstwo.

— Tylko się nie bać! Nie dajcie się przestraszyć. To pierwsza i zasadnicza sprawa — szepiali.

Irena widziała już twarze oprawców, widziała białe pałki, przekładane z ręki do ręki, pasy, buty, cholewy. Widziała tępe obrzmiałe mroczem oblicza pragnących rozgrzewki. Błyski plastiku, zgrzyt podeszew. Zaraz uderzą.

Kuliła się wewnętrznie, aby uniknąć ciosu, szła jednak naprzód, a ciosy nie padały. „Nie bać się”, powtarzała sobie mechanicznie, jak lekcję, którą trzeba wbić w pamięć. „Przede wszystkim nie wolno się bać”.

I tak przeszli gromadką, trzymając się za ręce, przez szpaler zomowców. Popychani w kierunku suk milicyjnych, na oczach szemrającego tłumu. Przelamali swój strach. Nie zostali pobici pod wzrokiem ludzi naokoło.

(Fragment powieści)

Andrzej Braun

Poezja uświadomionych niepokojów

STANISŁAW BARAŃCZAK: „Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia”, PIW, Warszawa 1991.

Niemal w dekadę po pierwszym wydaniu *Antologii angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia* Stanisław Barańczak dał nam do ręki drugą, znacznie rozszerzoną (o ponad sto wierszy!) jej edycję. Rezultatem wielu lat pracy translatorskiej Barańczaka i jego licznych powrotów do siedemnastowiecznych poetów angielskich jest wybór imponujący obfitością i różnorodnością zawartych w nim utworów: od głębokich liryków religijnych (cykl *Sonety Święte* Donne'a) po lekkie igraszki erotyczne Herricka i Lovelace'a, a także tegoż samego Johna Donne'a.

Na pozór zestawienie takie może budzić zdziwienie a nawet sprzeciw: skąd w tytule antologii „poezja metafizyczna”, skoro mamy tu do czynienia także z lżejszą muzyką? Problem jest tyleż skomplikowany, ile pozorny, określenie to można bowiem interpretować co najmniej dwojako. Potocznie gotowi jesteśmy przyjąć, iż nazwa „poezji metafizycznej” obejmuje obszary tej liryki, która porusza problematykę religijną lub filozoficzną, stawia pytanie o kondycję człowieka w świecie i ludzkie pówolanie, próbuje zgłębić tajemnicę Boga, człowieka, świata, bytu.

Operując w ten sposób terminem zaliczamy do nurtu metafizycznego (zakładając, że warunkiem jest, aby „głęboka” tematyka była jedną z dominujących w twórczości poety) zarówno Zbigniewa Morsztyna jak Czesława Miłosza, ale nie Jana Kochanowskiego czy Zbigniewa Herberta. Granica jest jednak bardzo niejasna, o „metafizyczności” decyduje stosunek podmiotu do tematyki, nastrój utworów a zatem czynniki nie dające się ująć inaczej, jak poprzez subiektywne odczucie krytyka. Nie trzeba dodawać, że takie traktowanie modnego dziś zresztą terminu pozwala uznać za „metafizyczną” — w sposób dość dowolny — co najmniej połowę światowej liryki wszystkich czasów, a zarazem nie stwarza konkretnych możliwości interpretacji.

Dlatego dla potrzeb *Antologii...* Barańczaka należy sięgnąć po inne wyjaśnienie pojęcia, ściśle historyczne i charakteryzujące twórczość konkretną, choć nie sformalizowaną, grupy poetów tworzących w Anglii od końca XVI do początków XVIII wieku. Określenie *metaphysical poets* pojawiło się po raz pierwszy pod piórem osiemnastowiecznego klasycysty, prawodawcy literatury i ojca angielskiej krytyki, Samuela Johnsona. Dodajmy, że zostało ono użyte w znaczeniu ironicznym, dla ujęcia w jednym słowie wszystkich „okropności”, jakich zdaniem klasycysty dopuszczali się poeci ze szkoły Donne'a. Oddajmy zresztą głos same-

mu doktorowi Johnsonowi: „Na początku siedemnastego wieku pojawił się rodzaj pisarzy, których możemy nazwać poetami metafizycznymi. (...) Poeci metafizyczni byli ludźmi uczonymi i pokazywanie tej uczoności stało się jedynym celem ich wysiłków, lecz niestety postanowili pokazywać ją przy pomocy rymu i zamiast tworzyć poezję, pisali jedynie wiersze. (...) Jeśli ojciec krytyki [Arystoteles] słusznie nazwał poezję *«technē mimetikē»*, sztuką naśladowczą, to owi pisarze niechybnie utracą prawo do miana poetów: nie można bowiem powiedzieć, aby kopiowali naturę lub życie, aby oddawali formę materii lub przedstawiali operacje intelektu. (...) Ponieważ skupili się całkowicie na tworzeniu rzeczy nieoczekiwanych i zaskakujących, nie zwracali uwagi na ową jednolitość uczuć, która pozwala nam odbierać i przeżywać cierpienie i radość innych (...), pisali raczej jak obserwatorzy a nie uczestnicy natury ludzkiej, jakby patrzyli jedynie na dobro i zło (...), czynili uwagi o postępkach człowieka (...), bez zainteresowania i bez emocji. Ich dworność była próżną zachwyty, ich lament pozbawiony żałości. Ich zamiarem było tylko powiedzenie czegoś, co, jak oczekiwali, nigdy wcześniej nie zostało wypowiedziane.”

Przyjęcie historycznej interpretacji zawartego w tytule terminu, niezależnie od tego, czy zgodzimy się z oceną Johnsona, wyjaśnia chyba, dlaczego w antologii „poezji metafizycznej” znalazły się wiersze o lekkiej tematyce. Mamy tu do czynienia nie tylko z poezją refleksyjną (to określenie, nawiasem mówiąc, byłoby chyba neutralne i przez to bardziej odpowiednie dla opisu różnorodnych zjawisk, które krytyka uparcie darzy wspólnym mianem metafizyczności), ale ze zróżnicowaną tematycznie twórczością poetów, których ze względu na niektóre cechy wspólne liryki pewien krytyk nazwał metafizycznymi — czyli zawitymi, niezwykłymi, wylamującymi się z klasycystycznych norm, barbarzyńskimi.

Ciekawą, przystępną, a zarazem opartą na fachowych źródłach charakterystykę „poezji metafizycznej” przedstawił Barańczak we Wstępie, będącym zarazem najlepszym studium o tym nurcie angielskiej poezji XVII wieku dostępnym czytelnikowi polskiemu. Zarówno Wstęp jak i krótkie noty biograficzne wszystkich autorów stanowią istotną część *Antologii...*, gdyż angielska poezja metafizyczna XVII stulecia to jedynie pozorne lekture łatwa. Językowy kunszt przekładu bez wątpienia przybliży czytelnikowi prezentowane utwory, ale dopiero zagłębienie się w treść, w proble-

matykę tych liryków daje pełną satysfakcję z lektury. Przewodnikiem może być w takiej wędrówce po tematach właśnie Wstęp, omawiający najistotniejsze motywy i obrazy poezji metafizycznej, umieszczający je w kontekście literackim i kulturowym epoki, wyjaśniający zależności i podobieństwa między obrazowaniem liryki religijnej i miłosnej XVII wieku, a wreszcie sugerujący — nie wiem czy świadomie — skąd wzięła się popularność poetów metafizycznej w XX wieku („odkrył” ich po niemal dwustu latach zapomnienia i pogardy dopiero T. S. Eliot). Z jednej strony przyczyną ponownego przeżycia i odczytania siedemnastowiecznych „metafizyków” wydaje się fascynacja bogactwem formy w połączeniu z nowoczesnością problematyki, z drugiej strony poczucie jakiegoś podobieństwa sytuacji, wspólnoty doświadczeń i losów, a w każdym razie świadome przeżycie niepokojów własnej epoki: wiek XX to przecież podobnie jak XVII, nie tylko zresztą w Anglii, „a warlike, various and tragical age” („wiek wojen, przemian i tragedii”), by posłużyć się tymi samymi słowami Abrahama Cowleya, którymi swój szkic rozpoczyna Barańczak.

Jakież są, czego dotyczą niepokoję wyrażane przez poetów metafizycznych? Uwarunkowane są przede wszystkim rozszerzeniem wiedzy o świecie, która w wieku XVII w związku z odkryciami i wynalazkami naukowymi czyniła wielki postęp, aby znaleźć swe ukoronowanie w dziele Newtona. Wielkim problemem wykształconego i wrażliwego człowieka XVII wieku było uświadomienie sobie nieskończoności: fizycznej — w odniesieniu do wszechświata, psychologicznej — wielkich obszarów myśli, których człowiek nie jest w stanie objąć rozumem, religijnej — Boga. Wynikający stąd niepokój, tak istotny dla poetów metafizycznych, streścić można słynnym zdaniem Pascala: „Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie.”

Przemiany w widzeniu świata zewnętrznego oraz sytuacja polityczna Anglii XVII wieku nie pozostawały bez wpływu na postrzeganie roli miejsca człowieka we wszechświecie, na interpretację zależności pomiędzy człowiekiem, naturą i Bogiem. Z jednej strony zatem poezja Donne'a i jego kontynuatorów jest poezją przeżyć religijnych (wielu poetów piastowało funkcje kościelne, warto jednak zauważyć, że spectrum wyznaniowe jest bardzo szerokie), zwłaszcza poszukiwania Boga i przełamania w sobie — wolno chyba użyć tu terminu anachronicznego — człowieka zbuntowanego. Z drugiej strony pojawia się znaczący nurt „światowej rozkoszy”, pojmowanej zazwyczaj jako rzecz naturalna, nie pozostająca w konflikcie z prawem boskim. Miłość — i to najczęściej zmysłowa, nie idealizowana — znajduje u Donne'a, Marvella, Carewa, podobnie jak u Herricka i Lovelace'a (których przynależność do „metafizyków” bywa dyskutowana) pełne dowartościowanie. Wyjątkiem jest wyłącznie religijna twórczość George'a Herberta, uznawanego obecnie za najdoskonalszego obok Donne'a przedstawiciela poezji metafizycznej. Spuścizna pozostałych poetów łączy ze sobą w

różnych proporcjach oba nurty: religijny i świecki. Znajduje to, podobnie jak odpowiedniość obu nurtów w sferze poetyckiej, uzasadnienie w kulturze umysłowej epoki. Łatwo zauważyć, że dla wyrażenia różnorodnych treści stosowane są podobne obrazy i metafory. Większość z nich motywowana jest właśnie ową rozszerzoną świadomością człowieka XVII wieku — stąd liczne odbiegające od kanonów klasycystycznych porównania wykorzystujące osiągnięcia nauk przyrodniczych: cyrkle, kompas, magnetyty, dźwigi, sztolnie, teleskopy i mikroskopy. Taka praktyka, wynikająca z podziwu i respektu dla nowości i różnorodności świata, łącząca się z tym zjawiskiem, które Barańczak we Wstępie określa jako „założenie, iż żadna sfera doświadczenia nie jest sama przez się niepoetycka”, była bez wątpienia irytująca dla Johnsona, jego niechęć budziły zapewne zestawienia treści religijnych z obrazowaniem zaczerpniętym z polityki, kartografii czy handlu.

Dziś jednak trudno się zgodzić z twierdzeniem, że jest to poezja chłodnego, pozbawionego uczuć intelektu. Trudno taki zarzut postawić nie tylko najznakomitszym, ale nawet tym pomniejszym poetom, których także — przynajmniej jednym utworem — przedstawia Barańczak. Bez wątpienia jest to poezja kunsztowna (co oznacza, że twórca świadomie dąży do doskonałości i wyrafinowania formalnego, często poprzez stosowanie niekonwencjonalnej weryfikacji, skomplikowanych środków stylistycznych, poetyki konceptu), ale nie wynika to z antyemocjonalnego stosunku do świata, lecz ze swoistego, właściwego epoce pojmowania Arystotelesowskiego postulat *«mimesis»* — naśladowania natury. Można zaryzykować twierdzenie, iż ogromna większość kierunków literackich i ogólnie artystycznych *«explicite»* lub *«implicite»* stawia sobie za zadanie jak najdoskonalsze odtwarzanie rzeczywistości, każdy jednak prąd używa w tym celu odmiennych środków: dla poezji barokowej takimi środkami dla zobrazowania różnorodności, dziwności, wspaniałości, a także marności świata była poetyka zadziwienia, konceptu, oksymoronu, niezgodnych zgodności. Taka też jest angielska „poezja metafizyczna” XVII stulecia.

Stanisław Barańczak dokonał dzieła niezwykle, prezentując ponad dwieście utworów poetyckich w doskonałym tłumaczeniu uwzględniającym bogactwo języka, weryfikacji, efonii i metaforyki. Załóżmy jedynie należy, że wydanie *Antologii...* zawiera tylko polską wersję utworów, gdyż naprawdę podziwiać kunszt translatorski Barańczaka pozwalają dopiero wydania dwujęzyczne (w takiej wersji ukazały się wybrańki poezji dwóch poetów metafizycznych: Johna Donne'a i George'a Herberta). Nawet jednak lektura *Antologii...* zubożona o możliwość porównania z tekstem oryginalnym pokazuje, że co dalekie było — językiem, czasem, kulturą — może stać się bliskie.

Agnieszka Fulińska

Wejście do rzeki dzieciństwa

STEFAN MACIEJEWSKI: „Białe Oko” (wznowienie), Oficyna Cracovia, Kraków 1991.

Pamiętam, że było to na czasach, na Mazurach. Wody jeziora aż kipiały od sporych plotek i okoni. W trzcinach pokrzykiwały perkozy i łyski. Na płycznach o zmierzchu pojawiały się raki, niezbyt płochliwe, doskonale widoczne w świetle latarki lub umieszczonej w słoiku świecy. W lesie można było już znaleźć pierwsze maślaki i rydze, a na krzewach dojrzały gwiazdziste gronka orzechów. Tymczasem ośrodek

domków kempingowych (gdzie tam właśnie rzecz się działa) rozbrzmiewał pomrukami przybyłych tu z rodzicami na wywczas małowatów. Brum! Brummm! — dobiegało z udeptanych ścieżek. Bzzz-bzzz-bibib! — niosło się od piaskownicy. Wrrr-bummm! — rozlegało się w deszczowe dni na werandach. Rzecz jasna bawili się miniaturowymi samochodzikami. A potrafil tak od rana do nocy, *da capo al fine*. Przerazali swym mono-

tematycznym uporem. I zda się nie istniały dla nich las ani jezioro, grzyby ani ryby. Mój kilkuletni podówczas syn, Kajetan, zaproszony do wspólnej zabawy, odrzekł, że szkoda mu na to czasu, bo właśnie idzie z ojcem pomyśleć łódkę, toteż zabawa samochodzikami wcale go nie interesuje. Usłyszał wówczas w odpowiedzi: „No to czym się bawisz? Łalkami?!” Przyznam, iż ubóstwo tej alternatywy zupełnie mnie zmroziło. Biedni malcy.

Kiedyś wybrałem się na wspólny spacer z — nazwijmy go — Powinowatym, gorliwym chwalcą i wiernym lennikiem Księcia Przemysława Ciężkiego. W trakcie rozmowy użyłem określenia: „O, jak stąd do tamtej olchy”. Lub jakoś podobnie. Powinowaty osłupiał i zapytał: „A skąd wiesz, że to olcha? Przecież już nie ma liści”. Sądzę, iż prześcignęłem go w osłupieniu.

O co właściwie mi chodzi? Po tym przydługim wstępie

chciałbym po prostu zachęcić czytelnika do lektury powieści Stefana Maciejewskiego *Białe Oko*. Jedynej w swym rodzaju, pełnej umiłowania przyrody i przygody, a jednocześnie jakby przepojonej tęsknotą za Heraklitową rzeką dzieciństwa. Ze wszech miar oryginalną, a jednak świadomą swego pokrewieństwa z *Rodziewiczową (Lato leśnych ludzi)*, Konradem Machczyńskim (*Wilcza mozaika*) czy wręcz z *ramotą myśliwską*. A przy tym sympatyczną jak... jak chyba wszystkie tego typu utwory Maciejewskiego. Toteż zachęcam wszystkich (zarówno dorosłych jak i młodych czytelników) do sięgnięcia po *Białe Oko*. Zwłaszcza tych, którzy nigdy nie mieli swej RZEKI, nigdy nie łowili raków i karasi, nie zaglądali do ptasich gniazd, nie tropili wydr, piźmoszczurów lub jeży, nie mieli własnej wiatrówki słynnej marki „Diana”, łuku ani choćby procy, którzy nie wiedzą jak pachną nagrzane upałem pokrzywy tudzież zmurszałe gonty i którzy wreszcie, nawet obecnie, mimo niełatwych czasów, wstydzą

się spędzić wakacje lub urlop u stryja, ojca, brata, dziadka albo teścia na wsi, gdyż nie pozwalają im na to kompleksy, albowiem uważają, iż godne mieszczucha w pierwszym czy drugim pokoleniu są jedynie wczasy w Sopocie lub w Krynicy, i to najlepiej nieomal w drapaczu chmur, skąd blisko do dyskoteki, do salonu gier typu „Mały szuler”, na włoskie lody tudzież do wszelkich „grilli” i pitigrilli... byle tylko nie do przyrody. Kochać przyrodę? A nie lepiej już Barbie?

Nie twierdzą, że lektura tej książki zmieni ich w jakiś sposób. Ale może obudzi jakieś przygaszone tęsknoty, wywoła — choćby w przyszłości — pewne zarzucone dotąd reakcje. Lub może uświadomi im, że kultura polska, zarówno ta mniej, jak i ta bardziej zgrzebna, odległa, tkwi jednak swymi korzeniami gdzieś w sielskiej tradycji, pośród ogromnej sceny natury i zmienności pór roku.

Andrzej Nowak

Przemilczana konspiracja

JERZY KORCZAK: „Konspiratorzy”, SAWW, Poznań 1990.

Na czarnym, z lekka tylko miejscami rozjaśnionym tle, krąg tworzą ręce z z palcami złożonymi jak do przysięgi. Albo może na seansie spirytystycznym? Może pod okładką tej książki odbywa się wywoływanie duchów?...

Okładka Bolesława Musierowicza do *Konspiratorów* Jerzego Korczaka oddaje sens tego, co zawiera oparta na dokumentach opowieść o tym, jak w czasie okupacji hitlerowskiej powstawała w Wielkopolsce konspiracja.

Pierwszy impuls został nadany przez marszałka Rydzas-Śmigłego w przededniu przekroczenia przez rząd granicy rumuńskiej — 16 września 1939 r. Impuls dotarł do Warszawy jeszcze przed jej kapitulacją. Wśród tych, którzy zaczęli formować siły podziemne dla stawienia oporu okupantom, znaleźli się też oficerowie armii pomorskiej poznańskiej.

Losy Armii „Poznań” Jerzy Korczak przedstawił w swojej dwuczęściowej książce dokumentalnej *Cóż ty za pani... Konspiratorzy* są więc w jakimś sensie przedłużeniem tamtej, którą autor określił jako „reportaż historyczny”.

Poznań i Wielkopolska w *Konspiratorach* ukazują się jako teren o ogromnym potencjale intelektualnym, praktycznym i organizacyjnym, terenie, gdzie ludzie bez szukania rozgłosu i junackich wyskoków montują prawdziwą, nośną i wytrzymałą strukturę, która miała stać się Związkiem Walki Zbrojnej, potem przemianowanym na Armię Krajową.

Przez Poznańskie biegały wtedy połączenia z innymi ośrodkami konspiracji, szczególnie z Warszawą i Krakowem, ale także z Zachodem. Kurierzy, emisariusze, delegaci rządu, oficerowie i podoficerowie, harcerze, rzemieślnicy, a też skromni uczeni ludzie, płacąc za swoją działalność często cenę najwyższą — życia oddanego za Sprawę. Wobec milczenia, które przez wiele lat okrywało te sprawy, może się niekiedy wydawać, że to życie zostało stracone.

Trzeba poważnie potraktować zwierzenia uczynione wstępnie przez autora, że jego książka powstała „ze złości i ze zdumienia”. Wynikły one z uświadomienia sobie, „jak mało wiadzano o konspiracji antyhitlerowskiej w Wielkopolsce i jej ogromnym wkładzie w konspirację ogólnopolską, choć warunki tutaj były szczególnie ciężkie i wymagały osobnego podejścia i przemyślanych sposobów organizacji”.

Z niewielką pomocą prac historyków, raczej z ulamkowych często informacji ze wspomnień, z przytoczeń niepełnych i czasem niepewnych, Jerzy Korczak tworzy obraz zaskakująco żywy: konspiracji od samych początków. Miała ona za podstawę rodziny i kolegiów; szczególnie ważne okazały się koleżeństwo z harcerstwa i z wojska. Widocznie wtedy tworzyły one znacznie mocniejszą i bardziej szerszą więź niż obecnie. Widać też, jak obie te organizacje pięknie wtedy pełniły wychowawczą rolę.

Na powszednie dni konspiracji składają się przejazdy i spotkania, przekradanie się,

praca, szukanie kontaktów, pretekstów i osłon, przekazywanie informacji. Mniej jest natomiast opisów akcji zbrojnych, brawurowych wyczynów, osobistego bohaterstwa. Tu nie ma wielkich scen z pojedynczymi znakomitymi bohaterami. Tutaj grają zespoły. Chociaż tych wielkich nie brakuje. Pojawiają się generałowie Grot-Rowecki i Bór-Komorowski i płk. August Fieldorf-„Nil”. Z postaci bardziej znanych samym poznaniakom: ks. infułat Józef Prądzyński, abp Franciszek Witaszek, abp Walenty Dymek, Adolf hr. Bniński, Kirył Sosnowski, ojciec i syn Grottowie, kpt. Franciszek Pawella-„Jarociński” i wielu innych.

Powstają tu „Wielkopolska Organizacja Zbrojna”, „Wojsko Ochotnicze”, „Narodowa Organizacja Bojowa”, „Ojczyzna”, „Związek Odwetu”. Tutaj otrzymują nazwę, pod którą zapisały się chlubnie, „Szare Szeregi”, choć ich komendant, Florian Marciniak, rozwinął działanie na gruncie warszawskim, poznański pozostawiając następcę.

Kontakty z Warszawą były wówczas bardzo żywe. Korczakowi udaje się przy tej okazji wydobyć różnice między Generalną Gubernią a namiestnikiem greisero-wskim Warthegau. Nawet różne koloryty miast — Warszawy, Krakowa i Poznania — zarysowane w drobnych scenkach i realiach tamtego czasu, pozwalają zrozumieć, w jak różnych warunkach toczyła się konspiracja.

Powstanie głębokiej i skutecznej organizacji podziemnej na terenie Poznania i tzw. Warthegau to fenomen, który graniczy z nieprawdopodobieństwem. Z dwóch przede wszystkim powodów.

Po pierwsze: żywił niemiecki, dość silny w Pozna-

niu przed wojną i doskonale zorientowany we wszystkich realiach i stosunkach, był od początku okupacji wzmacniany przez zasiedlanie miasta Niemcami napływającymi z Rzeszy i Baltendeutschami, podczas gdy Polaków z miasta wysiedlano do GG lub usuwano na peryferie. W rezultacie na każdą polską rodzinę przypadało kilka niemieckich. Inwigilacja, a zatem możliwość wyspy, były w każdej chwili realne.

Po drugie: ta wielka konspiracyjna struktura powstaje z części, które niełatwo dawały się dopasować do siebie. Przedwojenne partie, stronnictwa i organizacje próbują najpierw robić coś przeciw Niemcom na własną rękę. Łączenie się i wspólne działania napotykały na wielkie trudności. Jedne są natury obiektywnej i wynikają z samych warunków życia pod okupacją, inne to ambicje, animozje, obawy i niechęć partyjne.

Cud prawdziwy, że to wszystko poddaje się w końcu jednemu dowództwu i porządkuje się w znakomicie działający system państwa podziemnego, którego istnienie w Polsce wciąż napawa zdumieniem historyków z Zachodu.

Wielka zasługa jednania i łączenia przypada ks. inf. Prądzyńskiemu i hr. Bnińskiemu, dwójgu ludziom o niekwestionowanym autorytecie moralnym i politycznym. Obaj potem zginęli bestialsko zamordowani, pierwszy w Dachau, drugi w egzekucji więźniów Fortu VII. W osobie Bnińskiego został stracony pierwszy delegat rządu RP na ziemie zachodnie.

Historia opowiedziana suchym językiem faktów nie wszystkich jest w stanie zafascynować. Historia przedstawiona poprzez charakterystyki ludzi i ich czyny zamienia się w emocjonujący film, u Korczaka — zrobiony słowami. Postaci mają swój sposób bycia i działania, swój własny głos.

Materiał tej książki jest natury filmowej. Można by zro-

bić z niej serial sensacyjno-szpiegowski. Wystarczy wspomnieć losy ślicznej Haliny Jagielskiej-Cimino, wdowy po włoskim dyplomacie, która jako kurierka jeździła za granicę, dopóki nie wpadła w ręce gestapo. Gdy niespodziewanie wypuszczono ją na wolność, padło na nią podejrzenie w kręgach konspiracji, że zgodziła się na współpracę z okupantem — może za cenę uratowania jej drugiego męża. Wydano na nią wyrok śmierci, którego udało się jej jakoś uniknąć. I nigdy się już pewnie nie dowiemy: winna czy niewinna?

Natomiast nie ma cienia wątpliwości co do arcyzdrajcy Zenona Ciemniejewskiego, przed wojną studenta prawa i członka prawicowej organizacji, który świadomie wydał w ręce gestapo plan siatki konspiracyjnej i ludzi w niej działających, jeśli nie zdążyli uciec, albo nie uratował ich przypadek.

Korczak jednak nie poświęca nigdy prawdy historycznej na rzecz sensacyjności fabuły. Może dlatego, choć czyta się ją potocznie, książka robi wrażenie bardzo wiarygodnej. Indeks kilkuset nazwisk, przypisy i blok kilkudziesięciu fotografii dają przybliżone pojęcie o ogromie pracy, jaką autor wykonał przy pisaniu tej książki.

Przywraca ona świadomości społecznej fakty zatarte w pamięci lub usunięte w cień i pozwala ocenić, jak w istocie wielki był wysiłek Wielkopolan w walce przeciwko okupantom.

Książka otrzymała nadawaną przez polski PEN-Club nagrodę im. Ksawerego Pruszyńskiego. Ale niestety, obawiam się, że niełatwo będzie znaleźć ją w księgarniach. Coraz bardziej nieruchawy „Dom Książki” nie kwapi się z przyjmowaniem do sprzedaży książek z prywatnych oficyn. Pozostają więc prywatne księgarnie. Te mają lepszego nosa.

Ewa Najwer

To jest młoda pisarka

MANUELA GRETKOWSKA: „My zdieś' emigranty”, Wydawnictwo „X”, Kraków 1991.

Jak w Kambodży przyrządzają psy, do czego służy rosyjskim punkom w Paryżu Radio Moskwa, co to jest kanibalizm recesywny, ile można zarobić na projektowaniu dziur w serze, jak można wykorzystać ruskie piekarniaki na egzaminie wstępnym, co to za zawód croquemort? Anegdota można mnożyć. Zwariowany wir wydarzeń. Paryż, Kraków, Katalonia. Besançon rozważający, czy komunizm aby na pewno upada i kłozard z za rogu opowiadający o rewelacji, z którą zetknął się przed laty w Hiszpanii, a którą nazywają tramwaj.

Ci z Państwa, którzy czytają krakowski *brulion* nie będą zaskoczeni. Nazwisko Manuely Gretkowskiej nie jest z pewnością dla Państwa obce. Kolejne zeszyty przynosiły jej wiersze i prozy. Te drugie zostały wtopione w książkowy debiut Gretkowskiej. Co to za książka *My zdieś' emigranty*?

Gretkowska opowiada o tym, co wokół niej dzieje, zaskakujące czy niesamowite. Niewątpliwie posiada dar wypatrywania takich niebanalnych historii. Nie bez powodu, w liście zamieszczonym jako rodzaj mini-wstępu, Czesław Miłosz komplementuje ją, że jest „naprawdę alive”.

Poznajemy jednak trochę inną Gretkowską od tej, którą pamiętamy z

brulionu. Jeżeli zastanowić się, czym jest *My zdieś' emigranty*, to najbliższa prawdy będzie odpowiedź, że jest to dziennik intelektualny. Przy czym, oczywiście, nie ma tu mowy o jakimś systematycznie prowadzonym z dnia na dzień dziuraniu. Daty skaczą: jesień 1988, zima, wiosna... gestniejąc dopiero pod koniec roku 1989. Ostatni zapis opatrzonej jest datą 22 lipca 1990 r., czyli świętej Marii Magdaleny (a propos, czy wiedzieli Państwo, że b. święto państwowe b. PRL miało taką patronkę?).

Maria Magdalena pojawia się nie przypadkiem. *My zdieś' emigranty* to rzecz również i o niej. Gretkowska opowiada nam o tym, jak pisze pracę dyplomową o Marii Magdalenie i recepcji tej postaci w gnozie judeo-chrześcijańskiej.

Maria Magdalena. Jedna z ciekawszych postaci Ewangelii. Grzesznica zostaje świętą. Postać fascynująca, nawet jeśli ograniczymy się do tego co wiadomo, czy czego nie wiadomo, z Nowego Testamentu. Gretkowska tropi jednak dalej. Poszukuje możliwości symbolicznych znaczeń postaci. Odwołuje się do symboliki hebrajskiej, wartości numerycznych, *Zoharu*. Zwraca uwagę, że Magdalena wyraźnie fascynowała gnostyków i katarów. Tu

ciekawostka: różne nieortodoksyjne ruchy usiłowały wydać Marię Magdalenę za mąż — za św. Jana, a nawet za Jezusa. Maria z Magdali jest dla gnostyków przede wszystkim obrazem wznoszenia się duszy ze stanu upadku do stanu oświecenia. Bywa też — stąd zapewne szokujący pomysł małżeństwa z Jezusem — personifikacją żeńskiego aspektu *sacrum*.

Okazuje się, że można odkryć zastanawiające zbieżności pomiędzy Marią Magdaleną a pewnymi postaciami z kultów przedchrześcijańskich. Dwoistość Magdaleny odpowiada podobnej dwoistości niektórych żeńskich bóstw. Przykładowo, przejmuje ona pewne „obowiązki” i atrybuty starożytnej Artemis. Wyraźne są też zbieżności z symbolicznymi postaciami gnozy judaistycznej. To tylko kilka z tropów, którymi podąża Gretkowska.

Obrona przez nią formuła nie stanowi oczywiście nowości w polskiej literaturze. Tego typu sposób pisania, pokazanie sprawy drążącej w danym momencie umysł piszącego, na tle jego życia, tego co się z nim i wokół niego dzieje, wykorzystywali z sukcesem choćby Bśandys i Konwicki. Z powodzeniem stosuje tę metodę również i Gretkowska.

Gretkowska przedstawia w swojej książce teoryjkę na temat spozstrzegania świata przez krótkowidzów. Otóż sądzi, że krótkowzroczność nie jest ułomnością. Krótkowidz, mimo — a raczej właśnie dlatego — że nie dostrzega wielu szczegółów, jest w stanie zobaczyć więcej niż inni to na co patrzy. Nie bardzo wiadomo, jak to się dzieje, ale pomijając drobiazgi, bezbłędnie ujmując istotną rzecz.

Otóż Gretkowska jest takim krótkowidzem. Co zastanawiające, ten sposób patrzenia daje efekty nie tylko wtedy, kiedy Gretkowska wyszukuje w literaturze nieoczywiste zbieżności i podobieństwa. Taka krótkowzroczność towarzyszy jej również przy opisie realnego świata. Tło jej anegdot zredukowane jest do tego co niezbędne. Gretkowska nie jest gawędziarzem. Wyraźnie nie bawi jej banalne podkolorowywanie rzeczywistości. O nie, tu chodzi raczej o wydobycie z każdej sytuacji czy zdarzenia tego, co zadziwiające, dające do myślenia, paradoksalne.

Jest to niewątpliwie sposób odbioru rzeczywistości właściwy dla (wybacz mi Manuelo to określenie!) intelektualistki. Gretkowska jest otwarta na doświadczenia, ale tym, co w niej reaguje jest intelekt. Okazuje się jednak, że intelekt ma swoje zalety. Otrzymujemy książkę barwną i żywą. Naprawdę nic z suchej erudycji, a intelektualizm nie oznacza tu pogoni za konceptem.

Pozwolę sobie na przytoczenie z pamięci pochodzącej sprzed paru lat wypowiedzi Gretkowskiej w *brulionie*. Wypowiedź ta była intencjonalnie z lekka skandalizująca. Brzmiała mniej więcej tak: *Na pytanie pani Wistawy Szymborskiej — gdzie są młode poetki, odpowiadam: tu jest młoda poetka*.

Proszę Państwa! Z radością chciałbym Państwu oznajmić: tu jest młoda pisarka. Naprawdę!

Aleksander
Nelicki

MAX FRISCH czyli poszukiwanie tożsamości

Jan Miziński

Zmarł 4 kwietnia w rodzinnym Zurychu pisarz, który najbardziej chyba przyczynił się do wyjścia literatury szwajcarskiej na szerokie, światowe wody. Literatura ta nie tylko w Polsce uważana była, i nie bez słuszności, za literaturę regionalną, czy nawet prowincjonalną, jakby Alpy stały się od czasów Hannibala nie zdobytą fortecą. Wprawdzie nasze prababki czytały *Zielonego Henryka* Gottfrieda Kellera, a specjaliści zachwycali się obrazkami z życia szwajcarskiej wsi Jeremiaśa Gotthelfa, ale wiek XX zapomniał właściwie, że w tym bogatym górskim kraju prócz zegarków jest coś, co może zainteresować ludzi z zewnątrz. Dopiero z chwilą pojawienia się dzieł Maxa Frischa i Friedricha Dürrenmatta w latach 50. (pierwsze ukazały się jeszcze przed wojną, ale były wtedy akurat ważniejsze sprawy) literatura niemieckojęzyczna przypominała sobie znów o swoich alemańskich pobratymcach. Tym bardziej, że tuż po wojnie włączyli się oni w dyskusję o niemieckiej historii najnowszej, w tę dyskusję, która trwa właściwie do dziś, szukając odpowiedzi na pytanie „jak do tego doszło?”.

Tagebuch 1946—1949 Maxa Frischa, wydany w 1950 r., zawiera rozważania pisarza o faszyzmie i jego korzeniach, widocznych także w demokratycznej i liberalnej Szwajcarii, a jak wykazały wydarzenia dalsze, również i w innych krajach.

Dziennik był i w latach późniejszych ulubioną formą wypowiedzi Frischa. Jest to chyba zresztą *signum temporis* w naszej niespokojnej części świata. Mamy wszak i w polskiej literaturze nazwiska wielkich, których dzienniki weszły na trwałe do historii literatury, by wymienić tylko Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Wata czy Tyrmanda.

Jednak międzynarodową sławę przyniosły Frischowi powieści, prawie wszystkie przetłumaczone na język polski. Ich przedmiotem jest, najogólniej biorąc, konflikt jednostki ze społeczeństwem, rozgrywający się i w płaszczyźnie całkiem zewnętrznej, egzystencjalnej, i, zwłaszcza, w tej wewnętrznej, prywatnej, intymnej.

Już bohater pierwszej powojennej powieści Frischa *Stiller*, zurychski rzeźbiarz o tym właśnie nazwisku, stał się synonimem kryzysu osobowości (tożsamości), nie chcąc się podporządkować sztuczemu podziałowi ról we współczesnym społeczeństwie i zaprzeczając, jakoby w ogóle nazywał się Stiller. Wolął się wcielić w postać niejakiego pana White. Jego rozmowy jako więźnia śledczego z prokuratorem świadczą o głębokim rzbardciu świadomości pomiędzy te dwie postaci, ale także o życiu jednocześnie teraz i w przeszłości. A przeszłości tej nie można ani zapomnieć, ani zanegować: ona daje ciągle znać o sobie. Mr White uporczywie zaprzecza, jakoby był tamtym

i ówczesnym Stillerem, a przecież sam wie, że nim dalej jest.

W *Dzienniku 1946—1949* Frisch pisał na temat tego nakładania się czasu, od którego nie można uciec: „*Zyjemy w ruchu i na bieżąco, i nie ma żadnej nadziei na doświadczenie samego siebie i na poprawienie jakiegoś momentu naszego życia. Jesteśmy swoją przeszłością, choćbyśmy temu przeczyli, ale jesteśmy też w nie mniejszym stopniu naszą teraźniejszością*”.

Stiller jest w sytuacji wielu inteligentów we współczesnym zwirowanym świecie: jest jednostką-Stillerem, jest też typem Stillera (właśnie współczesnego inteligenta) i wreszcie więźniem samego siebie. Bo owo więzienie to nie tylko cela, w której akurat siedzi. Ono jest także w nim samym. A jeszcze innym więzieniem jest dla niego (dla nas?) społeczeństwo, które zmusza do akceptowania określonych norm zachowania i

stechniczowaniu społeczeństw i zredukowaniu jednostki do roli nieważnego elementu masowego społeczeństwa konsumpcyjnego. W tym kontekście względna popularność Frischa jest szczególnie zrozumiała w krajach, gdzie ludzie poddani byli działaniu totalitarnych doktryn i praktyk społecznych, w których rola społeczna człowieka była wszystkim, on sam zaś niczym, a przy tym powieści Frischa są nie tylko bardzo indywidualne, ale wręcz nieraz intymne. Píše o tym Christa Wolf, jedna z najbardziej wrażliwych obserwatorek naszej epoki, pisarka pierwotnie z NRD, ale od dawna już zamieszkała w Niemczech: „*To nie są czasy na historię własnego Ja. A jednak życie ludzkie dokonuje się lub nie w poszczególnym Ja, nie gdzie indziej. Jest to autor, który ma to szczęście, że może na sobie samym doznać podstawowej sprzeczności swej epoki i*



Max Frisch

karze za ich nieprzebranie. W społeczeństwie tym, jak píše wrocławski germanista Norbert Honsza, bohaterowie Frischa widzą mianowicie „oznaki zniewolenia”. Jest to społeczeństwo żądające nie przyszłości, lecz przeszłości. Stillera należy uważać nie za wytwór fantazji autora, także nie za przypadek szczególny rozpadu tożsamości, lecz raczej za (jak píše N. Honsza) „paradygmat współczesnego człowieka”¹.

Tak samo zresztą skonstruowane są postaci bohaterów innych powieści Frischa: *Homo Faber*, *Powiedzmy Gantenbein* i *Montauk*. W ich duchowych rozterkach może się rozpoznać wielu czytelników, oczywiście spośród tych, których własna tożsamość i wewnętrzna harmonia w ogóle zajmuje; w tym chyba należy się dopatrywać przyczyny uniwersalnej poczytności prozy Maxa Frischa w świecie, mimo jej beletrystycznej nieatrakcyjności. Szczyt tej popularności przypadł na lata 60. i 70. kiedy to w kręgach intelektualnych trwała dyskusja o

wyrazić ją, równocześnie wy-punktować i uczynić zrozumiałą. Takie jest wyjaśnienie jego oddziaływania. Czytelnicy wierzą, że znajdują w jego książkach samych siebie. Wątpię w to. Proza Frischa ma wymiar pozafabularny, wykracza poza historię, którą opowiada. On sam, by się odnaleźć i znów ukryć, podchodzi do siebie samego od dwóch stron, coraz bardziej bezwzględnie postępując się jako instrumentem językiem: w zmyślonych historiach, które coraz rzadziej doprowadzone są do końca, a coraz częściej tylko zapoczątkowane, ukrywa to, co dla niego najbardziej osobiste”². I tak to właśnie jest: píše niby o sobie i swoich rozterkach w konfrontacji z atakującym otoczeniem, a czytelnik z kolei znajduje w jego Ja oddźwięk siebie.

Współczesny człowiek wieku techniki (*Homo Faber*) ma wyłączność racjonalistyczny stosunek do świata. Rządzi nim ścisła logika i matematyka, zaś brak mu jakichkolwiek odniesień estetycznych, gdyż nie pasują one do utilitarnego sposobu myślenia. Człowiek Frischa to człowiek niepełny, okaleczony, którego rytm życia wyznacza terminarz i telefon. Takie życie staje się ciągiem wyliczalnych zdarzeń, w którym nie ma miejsca na przypadek, niespodziankę. Gdy

coś takiego nastąpi, bohater Frischa próbuje także ewenement włączyć w myślowe schematy i reaguje schematycznie, co musi prowadzić do nieszczęścia. Żyje w gruncie rzeczy w świecie iluzji — choć tak bardzo wydaje się realistyczny — tym razem wśród iluzji stworzonych przez społeczne nawyki.

W swoich powieściach Frisch igra z różnymi prywatnymi i społecznymi rolami, jakie jednostka na siebie przyjmuje, lub też jakie są jej przez społeczeństwo przypisywane. Utożsamianie się człowieka z tymi rolami, problem tożsamości w ogóle, to temat nienowy. W samej tylko literaturze niemieckiej i austriackiej XX wieku zajmowali się nim najwięksi: Hofmannsthal, Kafka, Broch, Benn, Tomasz Mann, Hesse. Frisch lokuje ten temat w nowym, szerszym kontekście, w warunkach powojennego społeczeństwa masowego, w którym dotychczasowe, tradycyjne więzy rodzinne, małżeńskie, narodowe itp. są bardzo rozluźnione. Jego powieści zajmują się zawsze jakimś „Ja”, czyjąś sferą bardzo prywatną. Frisch jest pisarzem-obrońcą jednostki w rzeczywistości, w której zwykło się raczej myśleć kategoriami wielkich liczb. W roku 1967 powiedział na ten temat w wywiadzie dla hamburskiego „Die Zeit”: „*Domena literatury? Odważyłbym się twierdzić: sfera prywatna. To, czego nie chwyciła socjologia: jednostka ludzka, Ja, nie moje Ja, ale jakieś Ja, osoba, która jako Ja postrzega świat, osoba z całym swym biologicznym i społecznym uwarunkowaniem... Domena literatury: wszystko, co ludzie przeżywają, seks, technika, polityka jako rzeczywistość i jako utopia, ale w przeciwieństwie do nauki odniesione do istoty, która to przeżywa*”³.

I to Ja jest ciągle zmuszane do przywdziewania różnych masek. Stiller chciał rzucić maskę narzucaną mu ciągle na nowo przez otoczenie. Za własną, dobrowolnie nałożoną maską krył się Faber. Także w *Chińskim murze* i *Powiedzmy Gantenbein* bohater zdaje sobie sprawę z tego, że porusza się wśród masek. Są one u Frischa symbolem nieprawdziwości, zakłamania, braku autentyczności. Frisch wydaje się twierdzić, że byt człowieka, ale także społeczeństwa, dokonuje się w świecie sztucznie wytworzonym, stąd dążenie jego bohaterów do potwierdzenia (znalezienia?) przynajmniej własnej, prywatnej tożsamości. Jest to jednocześnie

ostrzeżenie przed popadaniem w szablony, stereotypy. Takie stereotypy, utrwalone a nieprawdziwe, czy niepełnie prawdziwe, wyobrażenia o ludziach, grupach i całych narodach prowadzą w prostej linii do ksenofobii. W tym ostrzeganiu przed indywidualnymi i grupowymi szablonymi Frisch bliski jest innym wielkim literatury niemieckiego obszaru językowego: Böllowi i Grassowi. Inaczej jednak niż ci dwaj czyni to w sposób introspekcyjny, chciałoby się powiedzieć — właśnie intymny. Jego bohaterowie sami analizują siebie, swoje uprzedzenia, stereotypy własne i siebie dotyczące.

Postaci z powieści Frischa jeden ze znawców jego twórczości, Michael Butler, określa mianem ekscentryków, gdyż żyją w zupełnej niezgodzie, w rozdźwięku z otoczeniem, które z kolei nie jest w stanie wytworzyć jakichś sił spajających, stabilizujących grupę społeczną. Otoczenie to — a w domyśle całe społeczeństwo, wykazuje stan przerażającej pustki, w której człowiek musi być skazany tylko na siebie. Wszystko, czego to otoczenie od jednostki żąda, to bezkonfliktowe dopasowanie się do tej anonimowej niąkości, pełny konformizm.

Obraz społeczeństwa zachodnioeuropejskiego połowy naszego wieku, a dziś już chyba obraz powszechniejszy, jest u Frischa całkowicie negatywny, nie można w nim bowiem odkryć żadnej jednoczącej zasady, żadnej integrującej reguły. Jest to jak gdyby zbiorowisko Musilowskich „ludzi bez właściwości” przeniesione w czas konsumpcyjnego dobrobytu, ale i dezintegracji, w epokę totalnego odpersonifikowania jednostki. Ten pesymistyczny obraz współczesności nie oznacza jednak bierności. Frisch stawia diagnozę choroby — jego bohaterowie próbują z nią walczyć. Są to próby indywidualne, słabe. Kontynuując tę medyczną metaforykę można powiedzieć, że Frisch był dobrym diagnostykiem, lecz niezdecydowanym, czy wręcz zdezorientowanym terapeutą. Ale czyż na tym ma polegać rola pisarza?

1. N. Honsza, *Literatur der Gegenwart*, BRD Österreich Schweiz, Wrocław 1976, s. 97
2. Ch. Wolf, *Max Frisch, beim Wiederlesen oder: Vom Schreiben in Ich-Form*, w: „Text + Kritik”, z. 47—48/1978, s. 7
3. Cyt. wg N. Honsza, op. cit., s. 101
4. M. Butler, *Das Problem der Exzentrität in den Romanen Frischa*, w: „Text + Kritik”, z. 47—48/1978, s. 13f.

APEL POLSKIEGO PEN CLUBU

Jesteśmy wstrząśnięci gwałtami na ludności cygańskiej dokonany w Mławie.

Zwracamy się do wszystkich, którym drogą są demokratyczne normy społecznego współżycia, z apelem o zaalarmowanie swoich środowisk powtarzającymi się doniesieniami o objawach nietolerancji, agresywnej ksenofobii i zdżdziałego bezprawia, jakim jest stosowanie zasad zbiorowej odpowiedzialności i barbarzyńskiego samosądu.

Zjawiska te współtworzą atmosferę nienawiści, są groźbą dla demokratycznego ładu w państwie i rzucają cień na obraz społeczeństwa polskiego w świecie.

Sądymy, że nikt nie ma prawa obrazu tego hańbić, ani na to przyzwalać.

Przypominamy zarazem niedawną Deklarację Międzynarodowego PEN Clubu, który ponowil wezwanie do intelektualistów i pisarzy świata, aby przeciwdziałali nacjonalistycznym skrajnościom w swoich krajach, służyli sprawie wzajemnego zrozumienia i w przypadku zarysowujących się konfliktów skłaniali opinię publiczną do spokojnego dialogu i rzeczowych pojednań.

Zarząd Polskiego PEN Clubu

zerwiec—lipiec 1991

Spotkanie poetów w Münster

Leszek Szaruga

Co dwa lata — poczynając od roku 1983 — w niemieckim mieście Münster odbywają się spotkania poetyckie, które z czasem przybrały charakter ogólnoeuropejski. W ostatnich spotkaniach ze strony polskiej brali udział Tadeusz Różewicz (1987) oraz Ryszard Krynicki (1989). Organizatorami imprezy są, prof. Winfried Woessler oraz dr Lothar Jordan z tutejszego uniwersytetu, zaś finansują ją władze miasta oraz Towarzystwo im. Anette von Droste (poetka niemiecka, 1797—1848, pierwsza w zasadzie kobieta, która weszła do kanonu poezji niemieckiej, autorka liryki religijnej i wierszy poświęconych naturze, wydała m. in. filmowaną później, bardzo popularną nowelę *Jundenbuch*). Tegoroczne koszty spotkania poetów wyniosły 150 tys. marek — piszę o tym, by uprzytomnić naszym organizatorom życia kulturalnego, iż podobne działania muszą kosztować, i to немало.

Tegoroczne spotkania w Münster odbyły się w dniach 29 maja — 2 czerwca, zaś głównym punktem programu była prezentacja współczesnej liryki włoskiej (Luciano Erba, Valerio Magrelli, Nanni Cagnone). Obok wieczorów autorskich w ramach samej imprezy, odbywały się też spotkania z poetami w szkołach, zorganizowano też kilka sesji teoretyczno- oraz krytycznoliterackich, które zdominowane były przez problematykę przemian literatury w dawnych krajach komunistycznych. Otwierał tę sesję wykład Waltera Hinderera z uniwersytetu w Princeton (USA) na temat „apokaliptycznych sygnałów w liryce Güntera Kunerta z lat 1986—1990”. Następnego dnia Rolf Bräuer omawiał twórczość „śpiewają-

cych poetów” ze Związku Sowieckiego (skupił się niemal wyłącznie na prezentacji dorobku Okudźawy i Wysociego) określając ich twórczość jako „rodzaj przed-pierestrojki”, zaś jego żona, Margaret Bräuer omówiła lirykę sowiecką lat 60. i 70., przede wszystkim zaś twórczość Jewtuszenki oraz Wozniesińskiego. W zasadzie oba z tych referatów naukowców z byłej NRD — w szczególności ten ostatni spotkały się z dość zimną i bezlitosną krytyką Jurija Archipowa z Moskwy wskazującego, iż poeci przywoływani przez Margret Bräuer dalecy byli od przypisywanej im w referacie „opozycyjności”, zaś ich działalność wyjazdowa, szczególnie „gościnne występy” w USA, spowodowały zafałszowanie obrazu współczesnej poezji rosyjskiej. Przy bliższym zbadaniu okazywało się, że „Zenja” (Jewtuszenko) reklamował „Andriusza” (Wozniesińskiego), zaś „Andriusza” — „Zenię”: w ten sposób team ten zdobywał coraz większy rozgłos, tym bardziej, iż praktycznie tylko ci dwaj autorzy wypuszczani byli z Związku Sowieckiego. Wykład Archipowa *Różnorodność tendencji współczesnej liryki rosyjskiej w odniesieniu do sytuacji politycznej* nakreślał dość interesującą panoramę tej poezji, nie pozbawioną jednak krytycznych akcentów dotyczących postaw samych omawianych autorów. Niesłychanie interesująco wypadła krótka wypowiedź Jazepsa Kukulisa (używającego dawniej w wydawnictwach pozacenzuralnych pseudonimu „Baltinavietis”) z Rygi, który poinformował o sytuacji poezji krajów bałtyckich z lat 1940—90. Wskazał też na szczególnie doniosłą rolę, jaką w roz-

woju poezji tych narodów odegrała emigracja: właśnie w Münster znajduje się największe skupisko wychodźstwa z Łotwy. Omówieniem tendencji we współczesnej liryce czeskiej i słowackiej zajęli się Franc Peter Künzel oraz Ludvík Kundera — ten ostatni poświęcił wiele uwagi poetyckim reakcjom na „cichą rewolucję” z lat 1989—90. Mój referat poświęcony był przemianom poezji polskiej lat ostatnich.

Rozdział sam dla siebie stanowiły prezentacje poezji autorów z byłej NRD oraz jej omówienia w referatach Michaela Grataza oraz Petera Geista. Eksperymenty językowe Jana Faktora oraz Berta Papenfuss-Gorka, według mnie całkowicie nieprzetłumaczalne (choć spotkałem włoską tłumaczkę, która parę tekstów ostatniego z tych autorów przełożyła, zgodziła się jednak ze mną, że tak naprawdę możliwe są jedynie wariacje tych utworów w języku przekładu), stanowią zjawisko niesłychanie interesujące, choć jednocześnie są najprawdopodobniej rozdziałem zamkniętym wraz z likwidacją NRD: w najnowszych utworach tego kręgu autorów — należy do niego m. in. Sascha Anderson, ale także i tacy poeci jak Stefan Döring czy Richard Pietrass (ci dwaj ostatni raczej do eksperymentatorów nie należą) — widoczna się staje tendencja do zmiany formuły, choć utrzymana zostaje dążność do krytyki języka. Bez wątpliwości poszukiwania Papenfuss-Gorka idą w tej sferze najdalej. Przy czym w sposób niezwykle interesujący rymują się te poszukiwania z eksperymentami innego niemieckiego poety Oskara Pastora, który od lat — po opuszczeniu Rumunii — zdołał sobie stabilne miejsce na zachodnoniemieckiej scenie poetyckiej. Jedno nie ulega wątpliwości — liryka ta, zdominowana przez dystans, ironię, często wręcz sarkazm, jest zjawiskiem w poezji niemieckiej niezwykle ważnym, zaś destrukcja języka tu dokonywana jest być może zapowiedzią nowego tonu całej literatury, choć zapewne nie da się tego dostrzec już dzisiaj. Pisał kiedyś Grass, że Niemcy nie czytają Tomasza Manna, gdyż nie są

w stanie przyjąć ironii jego pisarstwa — teraz sytuacja najwyraźniej zaczyna ulegać zmianie, zaś ironia staje się ważnym elementem literatury.

Z poetów występujących w Münster szczególnie spodobał mi się Carlos Bosuño z Hiszpanii, znany w swym kraju jako teoretyk. Jego utwory — można by je określić jako „metapoetyckie” — przypomniały mi w szczególności poezję Zbigniewa Biełkowskiego (przede wszystkim ze *Sprawy wyobraźni*). Duże wrażenie zrobiły też na mnie utwory autora czeskiego, znanego już czytelnikowi polskiemu, choć myślę, że nie dość cenionego, Mirosława Holuba. Zajął mnie także Rosjanin Aleksander Kuszner, którego nie pozbawione patetycznego smutku wiersze zaświadczały dramatyczne poszukiwania współczesnej literatury rosyjskiej. Wreszcie zafascynowały wiersze norweskiego, obdarzonego bezlitosną wyobraźnią liryka Georga Johannessena.

Organizatorzy imprezy, w czasie zamknięcia konferencji prasowej, zapowiedzieli, iż następne spotkania połączone zostaną najprawdopodobniej z przyznawaniem specjalnej nagrody dla poety europejskiego — plany te jednak jeszcze są nie do końca pewne. Jedno nie ulega wątpliwości — te spotkania, stanowiące znakomitą okazję do bezpośredniego literackiego dialogu poetów różnych krajów, będą kontynuowane także w przyszłości. Trudno w chwili obecnej, na gorąco, ocenić efekty tegorocznego spotkania. Wydaje się jednak, że — wbrew na gorąco spiswanym reakcjom miejscowej prasy — można tu było odnaleźć niezwykle interesujące tendencje współczesnej poezji, która, przechodząc wciąż fazę niekiedy ekstremalnych eksperymentów językowych, poszukuje w chwili obecnej nowego tonu. Widać to nie tylko w liryce niemieckiej — choć tu może proces ten jest szczególnie wyrazisty — lecz także w całej liryce europejskiej. Konfrontacja tych poszukiwań wydaje się niesłychanie ważna, pogłębiają ją zaś bezpośrednio prowadzone w czasie takich spotkań osobiste dyskusje pisarzy.

SENNIK CZESKI (IV)

C. D. ZE STR. 4

le, nie mogłem temu dać wiary. Odmówiła wzięcia pieniędzy, co było ponoć jej podarunkiem dla autora, którego sobie ceni. Do takiej jubileuszowej książki wspaniale by pasowała fotografia jubilatki! Poprosiłem obu jego synów, którzy fotografują, żeby zrobili mi potrzebną ilość fotografii. Obaj mi powiedzieli, że nie mają czasu. Kiedy z Aleksandrem sprowadziłem rozmowę na ten temat, poprosiłem go, aby mi od któregoś ze swych synów wypożyczył negatyw, a zrobię fotografie sam. I tu wylazło sztydo z worka: myśli, że by to było nieostrożne, gdyż obaj właśnie przygotowują się do jakichś egzaminów wstępnych.

Uczulem znów to drzenie, niezrozumiałe i niestosownie przychodzące z jakiejś chorej części mojego ciała chyba. Nawet w powrotnej drodze, a Staszek wziął mnie do domu, mówić nie mogłem. Po normalnym przyjacielskim pożegnaniu, kiedy już byłem w domu i na szczęście sam, ze wstyd ogarnęła mnie wściekłość: czy ci jego synowie są więcej warci i cenniejsi niż moi?

Potem przyszła Madla z pracy i zorientowała się, że coś jest nie tak. Opowiadałem jej z obawą, że mi to znów będzie wytykać, bo zawsze wytyka mi większy rozsądek moich przyjaciół. Musiałem jednak wyglądać na wykończony, bo jej nawyk reagowania na opak przejawiał się następująco:

— No, ale musisz przyznać, że skoro jest to akurat w czasie tych egzaminów... jakie znaczenie ma jakaś tam fotografia? Było to oczywiście wstrętne okłamywanie się, ale czulem, że jej powściągliwość jest jak balsam, bo nie muszę wznosić przeciw koleżdze smutnego zażalenia.

Po drodze do młyna szła grupa ludzi, wieźli sanie, leżał w nich żywy człowiek. Za saniami szło wielkie grube chłopisko z siekierą i rąbało nią tego leżącego człowieka. Na ciele zostały rozwarłe, blade, nie krwawiące rany. Przypomniałem sobie do chłopca z siekierą: ja wam tę siekierę kawalek poniosę. Z zakłopotaniem oddał mi tę siekierę, a ja jak rakietka rzuciłem się do ucieczki, leciałem za stodołą i uliczką między nimi do domu. Tam była siostra, było to w Brumowie, powiedziałem jej, żeby siekierę schowała i wlażem pod stół. Z oddali zbliżał się

powoli wściekły ryk. Może przeleci koło naszej chaty dalej.

CZWARTEK, 8 LUTEGO 1979

Dziś miałem o jedenastej spotkać się z Drahomirą Pithartową (dalej tylko P.), która mi dała do przeczytania swoje *Cwiczenia w bezwzględności*. Jest to coś jak notatnik kobiety — introwertyka, czującej, że ginie w świecie zepsutym przez mężczyzn, którzy zamiast jedwabiu i welny wprowadzili stylon i nylon, zamiast polityki terror policyjny i zamiast życia towarzyskiego picie, palenie i gadanie o mieszkaniach, w końcu mężczyźni przestają być mężczyznami, a kobiety kobietami. To wszystko czysta prawda! Ale może wściec tych z praktycznych mężczyzn i kobiet, którzy sobie powiedzą, że Pithartowa ma najmniej powodów do uskarżania się, skoro jest z dziećmi w domu, a mąż toleruje w dodatku to jej pisanie. Odnosiłem wrażenie, że autorka powinna usunąć z rękopisu neurotyczny ton, który wykracza poza stylizację jej „bezwzględności” i nieco bardziej podretuszować dom Pitharta, zwłaszcza że Piotr jest chyba u kresu męskich możliwości dziś, a ona mu to co napisze daje do czytania, więc jest to przypadek nie tylko konfliktu, ale i współpracy. Zrobiłem sobie wczoraj do tego notatki, dziś rano dałem je do przeczytania Madli.

Pithartową także czytała i nie powiedziała o niej nic złego, no, no.

— Masz rację w tym co jej piszesz — powiedziała mi — ale nie powinienes ulegać złudzeniom, że możesz im zastąpić mężów.

To diabelne zwarcie wściekło mnie, ale spytałem jeszcze spokojnie:

— Komu im?

— No, Właście Kanowej na przykład i tej Pithartowej!

Madla przez lata pracy w tym jej domu starców i obłożnie chorych, wybudowanym przez państwo, które wybudowało i też te choroby, nauczyła się błyskawicznego diagnozowania. Jest zawsze trafne, poza pewnymi drobiazgam. Ale te drobiazgi, to jest cała delikatna sfera stosunków, zainteresowań i emocji, które są pachnącym smarem powszedniości. Bez niego nie jechałyby robocze, kulturalne i towarzyskie kontakty, ludzi nie interesowałoby granie w teatrze ani patrzenie na to, pisanie ani czytanie, także kontaktowanie się. O tym ona jednak wie również dobrze jak ja. Lecz tu znajdują urodzajny grunt wszystkie nasionka przyszłych tragedii, jest to wylęgarnia amoralności, według Madli, szczególnie moich. Bo mam dziś w pewnym bistro kolejne spotkanie z Pithartową. Ziarno do ziarnka!

Ludwik Vaculik

OBYWATEL ŚWIATA

Z Ireną Lasotą

rozmawia Bogdan Rogatko

C. D. ZE STR. 3

do wypracowania takich mechanizmów, które sprawią, że nakład kilkudziesięcym stanie się dla wszystkich, wydawców, księgarzy i drukarzy, opłacalny. Trzeba wreszcie dojść do tego, żeby normalną rzeczą stały się dodruki, żeby opłacało się przechowywać diapozytywne wartościowe, nie jednosezonowe wydawnictwa. Wierzę, że wygra ją w końcu ci, którzy postawią na robienie prawdziwych oficyn wydawniczych, z długofalową, ambitną polityką.

Natomiast dla nauki polskiej nie- szczęściem jest fakt, że wyższe uczelnie oprowadane są przez ludzi, którzy mają co prawda słuszne jak na dzisiaj poglądy, ale ich stosunek do uczelni jest dziewiętnastowieczny. Istnieje więc nadal silna hierarchia służbowa, wykłady są na ogół obowiązkowe, asystentów dobiera się nie według zasady konkursu, studenci przeciążeni są wielką ilością niepotrzebnej wiedzy. I dlatego

istnieją, którzy w przyznawaniu funduszy stosowaliby zasadę konkursów, nie zaś protekcji, preferencji, starych i nowych układów. Widziałam np. listę pism, które ministerstwo dofinansowywało w zeszłym roku, i muszę powiedzieć, że zrobiła ona na mnie smutne wrażenie. Wszystko to ciągle tchnie peerelowskim sposobem myślenia. Czy jeśli jakiś pismo wychodziło przez trzydzieści lat, to bez względu na obecny poziom należy przedłużać jego egzystencję? Parlament musi wreszcie odsunąć kulturę spod władzy biurokracji.

● **Miejmy nadzieję, że uczyni, to już niedługo nowo wybrany Sejm. Bardziej dziękuję Pani za rozmowę.**

● **A jakie jest Pani zdanie o Ministerstwie Kultury i Sztuki?**

— Jestem za tym, żeby ministerstwo odsunęło się raczej od kultury. Żeby zrezygnowało np. z bezpośredniego dotowania pism i wydawnictw, natomiast żeby został powołany prawdziwy fundusz kultury. Powinna, moim zdaniem, powstać fundacja na wzór amerykański, kierowana przez ludzi bezstronnych, a tacy wciąż jeszcze w Polsce

Paryz, 18 czerwca 1991

Kompleks Don Kichota

Teresa Walas

Wiadomo powszechnie, że noc sylwestrowa należy do strefy czasu magicznego i można się po niej spodziewać wydarzeń proroczych i tajemnych znaków. Ludzkość dba więc o to, by jak najkorzystniej zaranżować swoje spotkanie z losem i przywabia Fortunę, czym się da: szampanem, lśnieniem jedwabiu, dźwiękami muzyki. Duch jednak, jak pamiętamy, polata, kiedy chce, a prorocze wizje ukazują się osobom nie zawsze na to przygotowanym.

W zeszłoroczny wieczór sylwestrowy znalazłam się na przystanku tramwajowym przy ówczesnej ulicy 18 Stycznia, która dziś utraciła swą ambiwalentną nazwę na rzecz jednoznacznie brzmiącej ulicy Królewskiej. Do przystanku tego zbliżałam się nieufnie, w mroku bowiem majaczyły sylwetki młodych ludzi nie robiących wrażenia dżentelmenów. Jeden miał na głowie trójbarwny pióropusz, na głowie drugiego, ogolonej po bokach piętrzył się biegnący środkiem ciemny grzebień. Uczesania reszty bardziej były standaryzowane, przyodziewek jednak nie pozwalał się w nich domyślać klientów Domu Handlowego „Jubilat”. Moje mieszczańskie serce zdjęła lekka trwooga, która opadła nieco, gdy wśród pankopodobnych stworzeń dojrzałam starszego mężczyznę w półkożusku. Człowieka tego cechowała najwyraźniej straceńcza odwaga, wdał się był bowiem z młodzieżą w dobrowolny dialog. Dialog ten, jak zdołałam się po chwili zorientować, dotyczył półlitrowki, która krążyła wśród zgromadzonych jak fajka pokoju. — „Panowie — mówił mężczyzna w półkożusku, a sposób, w jaki słowo to wypowiadał, świadczył, iż nie obce mu były obyczaje przedwojennych gimnazjów. — Panowie, ja was proszę, dajcie z tym spokój. Czy naprawdę się godzi w takim stanie witać ten nowy rok? Pierwszy rok wolności?” Sytuacja była na tyle niecodzienna, że ciekawość przemogła we mnie strach i przysunęłam się bliżej areny wydarzeń, zastanawiając się, jaka będzie cena tej patetycznej oracji. Czy pochopny dyskutant dostanie jedynie w zęby, czy też legnie wdeptany w skwerek nie opodal przystanku. Rzeczywistość wszakże, jak to z rzeczywistością bywa, przeszła wszelkie moje oczekiwania. Chłopak z grzebieniem odjął od ust półlitrowkę i prawie zapłakał. „Panie, panu dobrze mówić, na trzeźwo! Ile pan ma lat? Sześćdziesiąt. A ja osiemnaście. To wie pan ile miałem w osiemdziesiątym pierwszym? Dziewięć. Panie, ja żem palcem nawet nie tknął zomowca! A teraz co? Koniec. To czym my mamy żyć? Kim ja na ten przykład jestem?”

Nie wiem, jakiej odpowiedzi udzielił starszy pan, bo właśnie nadjechała ósemka. Sie-

dząc w pustym tramwaju rozważałam doniosłość problemu. Oto rośnie kolejna upośledzona generacja, w obliczu której pokolenie bez biografii robi wrażenie szczerze obdarowanego. Ci nie tylko nie byli partyzantami, ale nie wiedzą nawet, jak działa powielacz. Nie jest im znana intonacja, jaką posługiwał się towarzysz Wiesław, na fotografiach nie odróżniają Bieruta od Cyrankiewicza, Wałęsa należy do pokolenia ich ojców. W roku '81 mogli ewentualnie roznosić ulotki, lub pisać na murach „Wrona skona”. Ich przeżyciem pokoleniowym będzie plan Balcerowicza i powszechna prywatyzacja.

W chwili jednak, gdy tramwaj skręcał w prawo przy Teatrze „Bagatela”, problem nabrał ogólniejszego charakteru. Być może rzeczywistość edukacja, jakiej byliśmy poddawani i ta, której poddaliśmy młodsze roczniki daje prawo mniemać, że kto w życiu nie zaprawił milicjanta, ten nie istnieje? Jest nicością historyczną? Nasze dzieje od lat dwustu były dziejami oporu. Insurekcji, powstań, kampanii, demonstracji i starć ulicznych. Historia naszej literatury biegnie rąco od powstania do powstania, od wojny do wojny, od strzelaniny do strzelaniny. Dzieje polityczne i walki zbrojne nadają kształt biografii i wyznaczają rytm literaturze, która robi wrażenie zwierzęcia żywiącego się krwią: przegrane powstanie — dramat, nieudana kampania — poemat, utrata niepodległości — garść liryków, chybiona rewolucja — proza poetycka, odwilż — powieść, robotniczy protest — scenariusz filmowy itd. Nic więc dziwnego, że wolność może wprawić w zakłopotanie, nikt bowiem nas nie uczył, jak cieszyć się wolnością. Przejawia się więc ona również jako horror vacui — przerażenie pustką. Wolność oznacza bowiem nie tylko likwidację problemu wolności. Oznacza także powolne przesuwanie się jądra identyfikacji z oporu na wybór. W ten sposób matka Polka może obudzić się pewnego dnia jako zwykła matka, a kombatancki walki nowohuckich spojrzawszy w lustro zobaczy twarz Istnień Poszczególnych. Wbrew potocznym mniemaniom odzyskiwanie wolności jest operacją równie trudną, delikatną i ryzykowną jak jej utrata. Nawyk bowiem identyfikacji negatywnej, czyli sytuowania się w układzie oporu i walki, zakorzenia się w nas nie mniej głęboko niż inne nawyki. Istnieje też podejrzenie, że dla zachowania znanej sobie homeostazy organizmu społecznego znacznie produkować opór sztuczny, czyli wytwarzać wroga wewnętrznego. Bez rozwiązania kompleksu Don Kichota nie uda nam się w pełni odzyskać psychicznej równowagi.

TEATRZYK
RYSUNKOWY



ALEKSANDRA PIENKA

HYDE PARK czytelników

Dzisiaj prezentujemy nieporadny jeszcze literacko, lecz na pewno szczerzy i szlachetny w swym przesłaniu wiersz JACKA ZYGUŁY, siedemnastolatka z województwa tarnowskiego:

APEL

Człowieku! Gdy tęsknota ogarnia twe serce,
Ból pożera duszę i dławia krtań.
Nie poddawaj się człowieku rozterce,
I nie daj się zeznać żalowi, bo to okrutny drań.

Nie zaznasz człowiecze spokoju, gdy będziesz się
zbyttno przejmował.
Nie posmakujesz go gdy będziesz się gryzł.
Zostaniesz zmuszony znów zacząć od nowa,
A życie ponownie da ci w pysk.

Jeśli się w porę nie opamiętasz,
Jeśli nie postanowisz wciąż naprzód iść,
Przepadnieś bracie! Twym ratunkiem jest cmentarz.
Zostaniesz stracony, mczym zeschnię liść.

Więc nie przejmuj się, gdy smutek ścisną ci gardło!
To normalne w twoim stanie.
Lecz gdyby cię poważnie coś żarło,
Wtedy pomóc ci może tylko płakanie.

LISTY

Wielkie dzięki za ostatnie dwa listy i za numer „Dekady” — sprawiliście mi wielką przyjemność. Ilustracje do wierszy świetne, [a sprawą podwieszeń się nie przejmuj — nie wypadło to wcale tak źle.] Trafili się tylko jeden drobny, ale dotkliwy błąd drukarski, dotkliwy dlatego, że psuje dowcip, w wierszu Belloc'a o lordzie Finchleyu powinno być „naprawiał”, nie „naprawił”, gdyby rzeczywistość naprawił, to by go krótkie spięcie nie poraziło, czyli z tym aspektem dokonany zdanie nie ma sensu. Gdyby można zamieścić — po tyłu tygodniach — krótkie sprostowanie w tej sprawie, to byłbym b. wdzięczny, ale jeśli uważacie, że już za dużo czasu minęło, to nie przejmujemy się i tym. Nie takie błędy się zdarzały, żeby przypomnieć słynny przykład tytułu z międzywojennej prasy katolickiej, w którym pielgrzymi udawali się do Rzymu, aby sobaczyć papieża.

3 lipca 1991

STANISŁAW BARAŃCZAK

Witold Turdza odkrywa nieznaną arcydzielną

W ubiegłym roku para turystów z Krakowa zwiedzała Grecję. W jednej z uliczek u stóp Akropolu, Polacy zaszli do antykwariatu a nie na bazar i już to samo było rzeczą niezwykłą. Jeszcze dziwniejsze było, że chcieli oni kupić Iliadę i to w oryginale! Jakież było zdumienie turystów, kiedy, wertując strony epopei, natknęli się na dwie luźne kartki pisane ręcznie i... po polsku! Bardzo nierówno, niestarannie, jakby w pośpiechu czy gorączce ale jednak czytelnie. Były to wiersze, poświęcone greckim mitom. Podnieceni miłośnicy starożytnej kultury natychmiast kupili Iliadę wraz z niezwykłym znaleziskiem. Dopiero po powrocie z wakacji można było dokładniej zbadać owe wiersze i wtedy udało się ustalić, że są to sonety Lucjana Rydla z cyklu „Mitologie”. Ale nie ma ich w zbiorze wydanym przez poetę. Najprawdopodobniej Rydel przesłał je pod wrażeniem oglądanych zabytków, w natłumieniu, a potem — rozstręgnięty — zgubił książkę, do której je włożył. Trudno mu było odtworzyć wiersze, więc nie zostały wydrukowane. Ale przetrwały, tak jak zabytki, które Rydel zwiedzał i które stały się podniętą do napisania „Mitologii”.

Lucjan Rydel

MITOLOGIE

IKAR

Z rozpalonych przestworzy żaru złote strugi
Leją się na topieli lazur zwierciadłany,
Rozpryskują w iskielki opalowej piany
I stapiają w pas lśniący, jak widnokres długi.

Słoneczna, martwa cisza. Ani zadrgnął smugi
Świetlane, co stężyły na bezmiarze szklanym,
Wśród fali nieruchomej — łyska niespodziany,
Zastygły wosku okrucz, który niebo gubł.

Potem piór blade centki, migotliwie drzące,
Przez błękitu ogromy milczące złowrogo
Lecą, podobne liściom spalonym przez słońce.

Żaden jęk ni rozpacz skarga nie dolata,
Wkrąg cisza. Wśród blasku nieczulego światła
Ikar tonie — lecz równy był przez chwilę bogom.

ZEUS I GANIMEDES

Wiosna — wietrzyk wilgotny, chmur skrzydła tańczące
Nad doliną rozpostarł. Krąg słońca łyskiwy
Sypie strzały promieni na zielone niwy
I w jasności różowej kąpię je, gorące.

Niezmierzona równina barwi się tysiącem
Kwiatów ledwie rozkwitłych, traw puszyste grzywy
Kołyszą się łagodnie — mgieł korowód sowy
Sielec ros kryształowych skry po kwietnej łące.

Ganimedes, odziany jeno blasków złotem,
Stoi piękny, podobny wysmukłej kolumnie
I nagimi ramię te niebios pieszczotę

Wciąż niesyty przyjmuje... Orzeł srebrnopióry
Jego czarem ujęty — nadlatuje szumnie
I wpeł chwyta młodzieńca, unosząc do góry.

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”. Spółka z o.o Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto Kanada), Stanisław Lem, Leszek A Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz 13—14, tel 22-09-85
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.
ISSN 0867-4094